MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 5 WARSZAWA, 2 LUTEGO 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

RASIZM i GENOTEIZM

A PRZYSZŁOŚĆ KATOLICYZMU W POLSCE

I

RASIZM, rozpatrywany jako ruch społeczno-polityczny, zdąża do odrodzenia zagrożonego rozkładem narodu. Dążenie swoje opierają rasiści przedewszystkiem na zabiegach, mających na celu biologiczną stronę życia narodu. Wszystko inne jest tylko pochodnem biologicznych postulatów każdego rasizmu. Wszelkie próby reform społeczno-politycznych oraz wartościowania, zarówno w dziedzinie cywilizacyjnej, jak też etycznej, są u rasistów zawsze konsekwencją wysuniętych na plan pierwszy ideałów natury biologicznej.

Dla badacza, zajmującego się zagadnieniami antropologicznemi, nie jest tajemnicą fakt niejednokrotnego występowania zjawiska, które dziś nazywa się popularnie rasizmem. Zajmiemy się najpierw rasizmem niemieckim, jako prądem najbliższym nam i stosunkowo najlepiej poznanym.

U podłoża rasizmu niemieckiego stoi bezsprzecznie pesymizm historjozoficzny, wprowadzony przez Gobineau. Pesymizm ten opiera się na przekonaniu, że Europa wyczerpała wszystkie swe siły twórcze i wartościowe, uosobione w ludziach rasy nordycznej. Pesymizm ten doczekał się w Niemczech terminu przewodniego w postaci „*Untergang des Abendlandes*", będącego tytułem sławnej książki Spenglera. Jak głęboko zapadł w dusze niemieckie koszmarny czar owego „*Untergang*"'u, dowodzi choćby książka Erbta[1]), dotycząca światowej historji, opartej o moment rasowy. Autor ucieka się w niej przecież aż do pewnego rodzaju magicznego zabiegu, aby tylko uchronić Niemcy od cienia związku z zachodem. Wbrew bowiem geograficznej oczywistości przydzielił on Niemcy do północnego kręgu cywilizacyjnego, podczas gdy Anglję i Rosję zaliczył do zachodniego. Na dnie tego podziału tkwi, poza momentem propagandowym, chęć odgrodzenia Niemiec, jakby przy pomocy formułki magicznej, od „zgniłego zachodu". Pesymizm ten został jeszcze spotęgowany przez przegraną wojnę.

Rasizm niemiecki, jako próba uzdrowienia niemieckiego organizmu biologicznego, zmierza właściwie w czterech zasadniczych kierunkach. Po pierwsze stara się on o zahamowanie niemieckiego spadku urodzin, niemieckiej depopulacji. Dokonano w Niemczech olbrzymiej wprost pracy w tym kierunku. Rezultaty są o tyle ciekawe, nawet ze stanowiska teoretycznego, że zaprzeczają one mniemaniu jakoby spadku urodzin nie można było w narodzie, ogarniętym depopulacją, zahamować. Dalszym kierunkiem działalności rasistów — to działalność eugeniczna, zarówno w sensie negatywnym, jak też pozytywnym.

Trzecia droga do zamierzonego celu wiedzie przez pozbycie się żydów oraz niedopuszczenie do mieszania się Niemców z tym obcorasowym elementem etnicznym. Czwarty wreszcie kierunek, dość aprioryczny i doktrynerski, propaguje t. zw. nordyzację społeczeństwa. Po dość długiej dyskusji poglądy w tej sprawie ustaliły się w ten sposób, że za germańskie i bardziej wartościowe elementy rasowe uznaje się ludzi rasy nordycznej i fälickiej, t. j. mieszańca nordyczno-śródziemnomorskiego. Jest to w zasadzie uczuciowe cofnięcie się do ger-

[1]) W. Erbt: „*Weltgeschichte auf rassischer Grundlage*" Lipsk 1934, wyd. II, str. 360.

mańskiego terytorjum w Niemczech, położonego nad dolną Łabą.

Ruch rasowy w Niemczech, pojęty jako zespół wszystkich czterech powyżej wymienionych kierunków, rozwijający się tam już od lat kilkudziesięciu, wyzwolił w czasach powojennych olbrzymie wprost energje społeczno-polityczne. Jego to w pewnej mierze rezultatem jest przewrót hitlerowski, a zwłaszcza jego nastawienie ustrojowe, t. zn. zdyscyplinowana organizacja partji i państwa, pewien arystokratyzm hitleryzmu, ujęty w formie teorji przywództwa oraz zaznaczające się tendencje do ustroju stanowo-korporacyjnego z posmakiem kastowym.

Najciekawszym jednak wytworem niemieckiego ruchu rasowego ze stanowiska socjologicznego jest bezsprzecznie nowoformująca się w Niemczech religja germańsko-nordyczna, zwana religją niemiecką. Ze względu na to, że nawraca ona częściowo do starogermańskich wierzeń pogańskich, często nazywa się ją, zwłaszcza w publicystyce zagranicznej, neopoganizmem. Nazwa ostatnia jest jednak mało usprawiedliwiona. Religję tę możnaby nazwać religją genoteistyczną. Nazwę utworzyłem, zastanawiając się w swej książce o niemieckim rasizmie [2]) nad cechami charakterystycznemi nowej religji. Religja ta bowiem według zamysłów jej twórców ma nietylko służyć rasie nordycznej względnie niemieckiej populacji rasowej, ale nawet rasę tę w pewien sposób deifikuje. Z tych więc względów nazwałem nową niemiecką religję genoteizmem od greckiego γενοσ oddającego słowo i pojęcie rasa oraz nawiązującego do haseł populacyjnych i eugenicznych. Nazwa ta jest przytem tem udatniejsza, że wszystkie cztery wyżej wymienione kierunki działalności niemieckiego ruchu rasowego weszły, że się tak wyrażę, w skład „nabożeństwa i pobożności" nowej wiary.

Nowa wiara niemiecka poza służbą swej rasie oraz jej deifikacją, posługuje się rasowemi momentami, jako uzasadnieniem swej jakby pewnego rodzaju dogmatyki. Odrzuca ona zarówno Nowy, jak też przedewszystkiem Stary Testament dlatego, że jest on rzekomo wytworem rasy przednio-azjatyckiej i orjentalnej, składających się na trzon ludności żydowskiej.

Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień pragnę podkreślić, że geneza niemieckiego neopoganizmu jest niezwykle skomplikowana, jak zresztą geneza każdego szerszego ruchu społecznego, którego nigdy nie można wyjaśnić jakąś jedną, jedyną przyczyną. Ruch ten przedewszystkiem miał bardzo dobre możliwości rozwojowe naskutek religijnego rozkładu niemieckiego protestantyzmu. Liberalizm dogmatyczny i sekciarstwo religijne świata protestanckiego stanowiły doskonały klimat duchowy dla powstania tego tworu religijnego.

Działały przytem w Niemczech specjalne przyczyny natury historycznej. Oto cała dzisiejsza północ niemiecka została nawrócona na chrześcijaństwo gwałtem. Gwałtem nawrócono przecież germańskich Sasów oraz północno - zachodnich Słowian. Masa ludzka tworząca dzisiejszych północnych Niemców przyjęła tedy chrześcijaństwo, ale nawewnątrz pozostała nieprzekonana. Wykazywała ona ciągle i systematycznie ducha buntu przeciwchrześcijańskiego. Duch ten umożliwił powstanie i utrzymanie się protestantyzmu, a w konsekwencji doprowadził do pewnego rodzaju reakcji pogańskiej.

Ciekawą interpretację niemieckiego ruchu religijnego podał mi w rozmowie prywatnej p. dr. J. Czekalski. Wysunął on mianowicie przypuszczenie, że neopoganizm niemiecki jest religją wojskowych, uczestników wojny światowej. W niej to duch militarny stara się zrzucić więzy etyki chrześcijańskiej, wytwarzając typową etykę wojowników. Interpretacja ta jest o tyle ciekawa, że rzeczywiście w wierze niemieckiej jest bardzo usilnie podkreślany moment walki za sprawę rasy.

Bardzo przytem poważny wpływ na powstanie wiary niemieckiej wywiera świadoma i celowa praca masonerji. Nie jest to zaś tylko moje przypuszczenie, oparte na poszlakach i myślowych rekonstrukcjach, ale twierdzi to w Niemczech sporo ludzi, obznajomionych ze sprawą religji niemieckiej. Możnaby nawet w ten sposób interpretować pewne miejsce w książce Hitlera, w którem wódz nacjonalizmu niemieckiego twierdzi, że ci, którzy chcą nawracać do starogermańskich wierzeń religijnych, robią na niego takie wrażenie, jakby byli wysłannikami wrogich Niemcom sił. (*„Mein Kampf"*, wyd. 107 — 111, t. I, str. 397).

Najważniejszą jednak przyczyną powstawania nowej religji w Niemczech jest bezsprzecznie sam ruch rasowy. On to właśnie powoduje rys genoteizmu w nowych poczynaniach religijnych, on wyzwala religijny wprost zapał i entuzjazm dla nowego ukształtowania życia. Nastawienie religijne jest przytem tak silne, że przechodzi ponad głowami wodzów i teoretyków. Kto wie, czy tak nie jest w wypadku z Hitlerem. Zastanawiałem się kiedyś, dlaczego, pomimo niechęci Hitlera do niemieckiego neopoganizmu, ruch ten zdołał się właśnie za jego rządów zorganizować. Wysunąłem przypuszczenie, że może to wynikać z siły politycznej niemieckich rasistów, oraz stojących za nimi masonów. Ale oprócz tego może to być ruch tak żywiołowy, że nawet Hitler, widzący jego ujemne strony, może nie mieć odwagi z nim walczyć.

Że tak być może w istocie, na to wskazywałyby wypadki powtarzania się wspólnego występowania rasizmu i genoteizmu. Rozpatrując bowiem rasizm jako zjawisko powtarzające się w dziejach ludzkości, dochodzimy do pewnego ogólniejszego prawa socjologicznego, wedle którego zawsze w wyniku rasizmu społeczeństwo nim ogarnięte otrzymuje ostrzejszą i zwartszą organizację społeczno-polityczną oraz rysy genoteistyczne w swoich wierzeniach religijnych. Zjawisko tedy społeczne wyglądałoby w ten sposób, że naród zagrożony rozkładem, powodowanym przez obcą lub za obcą uważaną krew, zaczyna się w gwałtowny, prawie rewolucyjny sposób bronić. Obronę tę przeprowadza przez zwarcie swoich szeregów, narzucenie sobie większej dyscypliny oraz postawienie tej dyscypliny pod ochronę sankcyj religijnych. Religja staje się wtedy systemem obrony rasy względnie jej czystości.

Jest wielce prawdopodobne, że dzieje ludzkości widziały wiele rasizmów. Wieść o nich zaginęła jednak w pomroce dziejów. Poza współ-

---

[2]) K. Stojanowski: „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie", Poznań 1934.

czesnym rasizmem niemieckim rysują się nam dość jasno jedynie dwa wypadki, a to wypadek hinduski oraz żydowski.

Wypadek hinduski jest dla tego zagadnienia klasycznym. Arjowie nawarstwili się w Indjach na liczniejszą od siebie ludność, innej, ciemnoskórej rasy. W obawie przed rozpłynięciem się w morzu obcej sobie ludności chwycili się systemu kastowego jako systemu organizacji społeczno-politycznej. Na straży tego systemu postawili przepisy religijne, a przedewszystkiem wiarę w wędrówkę dusz, przy nadaniu najwyższej rangi duchowej wcieleniu bramina. W przypadku hinduskim znamy, niestety, tylko wynik hinduskiego ruchu rasowego, to jest system religijno-kastowy. System ten oczywiście powstawał przez czas dłuższy i był próbą obrony przed degeneracją rasową elementu aryjskiego w Indjach.

O wiele jaśniej zachował się nam wypadek rasizmu żydowskiego. Oto kiedy żydzi powrócili z niewoli babilońskiej, zastali w swej ojczyźnie bardzo dla siebie ciężkie stosunki. Cały kraj był poprzetykany osadami obcych plemion, żydzi byli bardzo często pożenieni z kobietami obcych ludów. Słowem stosunki wyglądałyby w ten sposób, że żydzi stali właściwie u początku likwidacji swego narodu jeszcze w piątym wieku przed Chrystusem. Tymczasem znaleźli się ludzie w narodzie żydowskim w postaci Nehemjasza i Ezdrasza, którzy przeprowadzili to samo, co dzisiaj robi Hitler w stosunku do żydów, tylko w daleko ostrzejszy sposób. Ni mniej, ni więcej, tylko kazano wszystkim żydom oddalić wszystkie obconarodowe żony i zrodzone z nich dzieci. „Czystkę" tę przeprowadzono specjalnie sumiennie u kapłanów. Był to zatem rasizm w najczystszej formie.

Konsekwencje tego w dziedzinie społecznej były analogiczne do konsekwencyj hinduskich i niemieckich. Żydzi od tego czasu aż do dziś zachowali zachwianą przez niewolę babilońską, zdyscyplinowną organizację, przewagę stanu duchownego, poczucie podziału na pokolenia, a wreszcie poczucie swej wyższości rasowej. Poczucie to przerodziło się w dziedzinie religijnej w ideę ludu wybranego, podczas gdy w obcych widziano „gojów" czy też ludy nieczyste. Idea ludu wybranego stała się z biegiem czasu tak samo pierwiastkiem genoteistycznym, jak u Niemców deiifikacja rasy nordycznej, czy też najwyższa ranga wędrującej duszy, wcielonej w braminie. Warto przytem zauważyć, że idea ludu wybranego nie ma nic wspólnego z wyżywaniem się w żydostwie rasy orjentalnej, jak to przypuszcza Günther[3]). Do idei tej dochodziły zawsze ludy w konsekwencji zastosowania rasizmu. Doszli do niej Hindusi, doszli też i Niemcy. Przecież cały rasizm niemiecki nie jest niczem innem jak właśnie tą ideą. Czyż pojęcie podczłowieka nie jest synonimem żydowskiego „goj"? Czyż w etyce nowoformującej się religji nordycznej idea ta nie przejawia się w jaskrawej formie? Przecież do tego doszło, że w wyznaniu wiary tej religji nakazuje się prawdomówność w stosunku do przyjaciół i ludzi jednej krwi, a pogotowie względem obcych i wrogów. Wszakżeż to wyraźny talmud. A przecież Niemcy są narodem nordycznym, a nie orjentalnym. Nie rasa tedy orjentalna predysponuje do wybrańbstwa, ale rasizm i jego konsekwencje.

Religja zatem żydowska, tak samo jak hinduska i nowa religja niemiecka, mają w sobie pierwiastki genoteistyczne zrodzone przez ruchy rasowe.

Działalność rasistów żydowskich, zgrupowanych około Nehemjasza i Ezdrasza, musiała być wielkim i potężnym ruchem politycznym. Namiętności w narodzie żydowskim zaszły wtedy tak daleko, że Samarja, nie chcąc przyjąć ich reform, wyłamała się z żydowskiego związku państwowego. Pomimo tej straty politycznej wyniki reform rasistów żydowskich były dla narodu żydowskiego decydujące. One to ocaliły żydów od śmierci narodowej, dając im silną więź społeczną, utrzymującą żydów na powierzchni życia do dziś, kiedy przedziwnym zbiegiem okoliczności sami stali się objektem rasizmu europejskiego; przecież tyle sąsiadujących z nimi narodów nie utrzymało się, ale uległo śmierci.

W wyniku przeprowadzonych powyżej rozważań teretycznych widzimy, że rasizm jest konsekwencją zagrożenia narodu przez śmierć, czy też degenerację. Konsekwencją zaś rasizmu jest ostry ustrój społeczno-polityczny oraz religja genoteistyczna. Ta ostatnia może zorganizować się w formy odrębne, ale też dołączyć się do już istniejących wierzeń, jak to widzimy u żydów, gdzie dołączył się genoteizm do dawniejszego monoteizmu.

Tyle mówi nam stwierdzone przezemnie prawo socjologiczne. Mając to prawo na uwadze, chciałbym omówić nasze polskie stosunki polityczne i religijne oraz wskazać na pewne możliwości i potrzeby, pewne niebezpieczeństwa i pewne nakazy.

KAROL STOJANOWSKI

---

[3]) H. F. K. Günther: „*Rassenkunde des jüdischen Volkes*", str. 121, wyd. II, Monachjum 1930.

GDY ŻYDZI MÓWILI OTWARCIE

ZARAZ pierwsze dni swej niepodległości poświęcić musiała Polska zagadnieniom żydowskim.

W posiadaniu mojem jest następujący dokument.

Kraków, dn. 27 listopada 1918 r.

„Polska Komisja Likwidacyjna
Wydział Administracji
L. 318/W. adm.

Polska Komisja Likwidacyjna delegowała p.p. d-ra Franciszka Bardla, d-ra Hermana Diamanda, d-ra Augusta Olszewskiego, Stanisława Rymara i d-ra Ignacego Steinhaus'a dla zbadania przyczyny rozruchów, których widownią były w ostatnich czasach liczne okolice naszego kraju, a w szczególności Lwów, dalej rozmiarów tych zaburzeń, dla skontrolowania postępowania władz, które były obowiązane czuwać nad utrzymaniem ładu i bezpieczeństwa publicznego i ustalenia, czy i które organa państwowe ponoszą winę w tym względzie, wreszcie dla zdania sprawy P. K. L. o swoich spostrzeżeniach.

W tym celu delegaci będą upoważnieni przesłuchiwać tak osoby prywatne, jak też i funkcjonarjuszy publicznych i domagać się przedłożenia do wglądu aktów i dokumentów.

Pozwalam sobie wymienionych Panów delegatów o tem zawiadomić z prośbą, by jaknajśpieszniej zechcieli się ukonstytuować i rozpocząć swoje czynności.

Naczelnik Wydziału Administracji P. K. L.

Lasocki"

Delegacja Krakowska P. K. L. zebrała się parokrotnie. Odrazu jednak wyłoniły się duże różnice poglądów, wskutek czego prace komisji zostały zahamowane. Wkrótce potem Polska Komisja Likwidacyjna w Krakowie połączyła się z Tymczasowym Komitetem Rządzącym we Lwowie.

We Lwowie sprawa żydowska przybrała od pierwszego dnia walk o posiadanie miasta formy bardzo ostre. Żydzi, jak wiadomo, ogłosili w walkach polsko-ruskich o Małopolskę Wschodnią neutralność. Ale tu i ówdzie, a także i we Lwowie, grupy żydów wzięły czynny udział w walkach po stronie ukraińskiej. Doszło do niewielkich zresztą, ale wyolbrzymionych przez żydów „pogromów" na Gródeckiem we Lwowie. Aby rzecz zbadać i jakoś *modus vivendi* ułożyć, zwłaszcza że żydzi postarali się o głośne echa pogromowe wśród uczestników kongresu pokojowego w Paryżu, uchwalił Tymczasowy Komitet Rządzący, w dniu 1 stycznia 1919 r. zwołać do Lwowa ankietę w sprawie polsko-żydowskiej. Specjalna Komisja, złożona z pp. dra Tobiasza Aszkenazego, prof. Adolfa Becka, dyr. Hermana Feldsteina, red. Bronisława Laskownickiego, dra Filipa Schleichera, dra Leonarda Stahla, dra Władysława Stesłowicza i red. Jana Szczyrka, a pod przewodnictwem dra Stahla ułożyła program ankiety, zaprosiła do udziału w ankiecie cały szereg osób i zażądała od nich:

1) ścisłego sformułowania postulatów swych własnych, względnie reprezentowanych stronnictw co do praw i obowiązków żydów w odniesieniu do a) Państwa Polskiego, b.) narodu polskiego, c) innych narodów zamieszkałych w obrębie Państwa Polskiego i

2) wskazania, jakie ustawy, ustrój i urządzenia organizacyjne są potrzebne do osiągnięcia postawionych postulatów?

Zaproszeni do udziału w obradach zebrali się pięciokrotnie w dniach: 2, 3, 4, 9 i 16 lutego. Przewodniczyli dr. Stahl i dr. Loewenherz.

Zabierało głos wielu. Mówili jednak głównie żydzi. Z Polaków wzięli udział w ankiecie dr. Stahl, hr. Skarbek, dr. Jan Pieracki, dr. Adam Głażewski i Franc. Oziębły z obozu narodowego, dr. Górecki rektor Hauswald, hr. Lasocki, Jan Lisiewicz, Teofil Męrunowicz, hr. Mycielski, Wład. Terenkoczy, prof. Thullie i dr. Mazurkiewicz z grup innych.

W czasie narad losy Mołopolski Wschodniej nie były jeszcze zdecydowane. Lwów był wprawdzie w rękach polskich, ale Tarnopol i Stanisławów opanowane były przez wojska ukraińskie. Stanowisko zwycięskiej Ententy nie było jasne, jednolite i zdecydowane. Znane były tymczasowe zarządzenia Komisyj wojskowych aljanckich. Przez czas dłuższy również ówczesny Naczelnik Państwa Polskiego przeciwny był walkom a skłaniał się do rozjemu i powierzenia Kongresowi Pokojowemu decyzji ostatecznej w sprawie losu tych ziem. Żydzi nie byli więc związani zdecydowaną już przynależnością do państwa polskiego. Walki orężne i rokowania dyplomatyczne wypaść mogły różnie. Żydzi mogli mówić szczerze. Mogli „dyktować" swoje żądania.

Żydzi przeżywali wówczas pierwsze miesiące „państwa palestyńskiego", okres swojej wielkiej, wszechświatowej potęgi, tak jaskrawo ujawnionej w czasie obrad Kongresu pokojowego. Żydzi lubią mówić. Mówili wówczas istotnie dużo i chętnie.

Dziś w zmienionych dogruntu warunkach warto sięgnąć do historji owych dni i skonfrontować ówczesne stanowisko żydów z dzisiejszem, aby dojść do prawdy. Czem być chcieli i czem są w Polsce po latach 17-u żydzi?

I

W czasie narad ankietowych żydzi nie występowali jednolicie. Dzielili się na dwie zasadnicze grupy: na syjonistów i asymilatorów. Obok nich występowały różne inne odłamy, zasadniczo jednak bliższe syjonistom, jak n. p. ortodoksi i Poale-Syjon.

Syjonistów reprezentowali: dr. Dawid Schreiber, dr. Mojżesz Schorr (obecnie mianowany przez Prezydenta Rrzeczypospolitej senatorem) i dr. Henryk Rosmarin. Zasadnicze postulaty syjonizmu w Polsce sformułował dr. Schreiber.

Zaczął on zwrotem ciekawym, a dla nas zasadniczym:

„Na pierwszem miejscu uważam za swój obowiązek, celem uniknięcia nieporozumień, podnieść z naciskiem, że nasz udział w ankiecie nie wykracza w niczem przeciw neutralności. W sporze polsko-ruskim żydzi tu zamieszkali ogłosili neutralność. Żydzi tu mieszkający nie mają prawa ani też nie chcą jako trzeci naród mieszać się do walki tych narodów i przyczynić się do zwycięstwa jednej lub drugiej strony. Bierzemy udział w ankiecie, przyjmując warunkowo, że wschodnia Galicja należeć będzie do Polski i formułujemy nasze postulaty na ten warunkowy wypadek".

Ten stosunek żydów do walk o granice Polski, opowiedziany własnemi słowami przywódcy syjonistów, należy pamiętać i zawsze przypominać, gdy żydzi wyciągać będą rękę po równe prawa w Polsce.

„Żydzi mieszkający w krajach polskich nie stanowią odrębnej dla siebie całości, lecz tworzą integralną część narodu żydowskiego, rozprószonego na całym świecie. Dlatego też żydzi polscy mają wspólne z resztą żydów dążenie do odbudowania dawnej swej siedziby w Palestynie. W tym kierunku dzień 2 listopada 1917 r. tworzy w życiu narodu żydowskiego nową epokę. Kwestja państwa palestyńskiego wejdzie na kongres pokojowy. Żydzi polscy jednoczą się w tych dążeniach do zbudowania Palestyny. Tam wyżyć się pragną jako naród samodzielny i niepodległy. W żadnym innym kraju, a zatem także i w Polsce, nie mają żydzi żadnych aspiracyj państwowych i terytorjalnych".

„Ruch emigracyjny do Palestyny... musi być powolny, systematyczny. Część żydów pozostanie w swoich dotychczasowych siedzibach. Jest zatem koniecznością stworzyć dla tej masy możliwości warunków współżycia. Nie może dojść do porozumienia między narodem żydowskim a polskim, bo między oba narody wcisnęli się oni (asymilatorzy). Dopiero przez bezpośrednie zetknięcie się narodu żydowskiego z polskim może dojść do pewnego porozumienia. Stworzeniu takiego współżycia stoi także na przeszkodzie zachowanie się społeczeństwa polskiego od dłuższego czasu. Pogrom we Lwowie był dla społeczeństwa żydowskiego nieszczęściem. Ze strony społeczeństwa polskiego nie spotkaliśmy się ani razu z bezwarunkowem potępieniem tych wypadków bez zastrzeżeń. A potępienie było obowiązkiem. Żydzi, zanim przystąpią do pewnych. konkretnych wniosków, muszą domagać się rehabilitacji. Stała się żydom wielka, niesłychana krzywda. Żydzi są bardzo wrażliwi na moralne krzywdy".

„Żydzi, jako członkowie narodu żydowskiego, zamieszkali na obszarze państwa polskiego, uznają pełną władzę udzielną i zwierzchniczą państwa polskiego i stwierdzają, że będąc obywatelami państwa mają te same obowiązki, co wszyscy inni obywatele. Nawzajem domagają się konstytucyjnego zabezpieczenia, obok pełni praw obywatelskich, uznania żydów polskich za odrębną społeczność narodową z prawem do obrony jako mniejszości narodowej, przyznania tej społeczności osobowości prawnej jako korporacji publiczno-prawnej, z prawem do odpowiedniego zastępstwa w ciałach ustawodawczych i innych, do zastępstwa w rządzie centralnym i ewentualnych korporatywnych rządach, oraz z prawem do samoistnego zawiadywania wszystkich wewnętrznych spraw kulturalnych i społecznych żydowskiej społeczności narodowej. Przynależność do narodu żydowskiego nie może być przeszkodą do uzyskania obywatelstwa polskiego".

W dalszym ciągu dr. Schreiber, formułując postulaty w zakresie autonomji narodowo-personalnej, żąda zniesienia spoczynku niedzielnego dla żydów, katedr języka hebrajskiego, literatury i historji żydowskiej na uczelniach państwowych, ustawy, uznającej nieograniczane prawo używania w żydowskiem życiu publicznem języka hebrajskiego i żydowskiego, uznającej ważność dokumentów, w tych językach spisanych, nakazującej trzymanie przy władzach państwowych tłumacza dla żydów, nie władających dostatecznie językiem polskim. Najniższą jednostką organizacyjną narodowej społeczności żydowskiej ma być przymusowa gmina żydowska. Najwyższym szczeblem, tworzącym normy w zakresie autonomji narodowej, ma być żydowska Rada narodowa. Nawyższym organem adminstracyjnym ma być wybrany przez Radę Sekretarjat żydowski, na którego czele stać ma żydowski sekretarz stanu (minister), mianowany przez naczelnika państwa na prezesa Rady Narodowej: Sekretarz stanu będzie zarazem przedstawicielem społeczności żydowskiej i zastępcą jej interesów w rządzie centralnym. Ma powstać osobny trybunał państwowy, który rozsądzać będzie spory między organami administracji państwowej a organami autonomicznych społeczności narodowych.

Po wyliczeniu tych postulatów, formułujących „państwo żydowskie w państwie polskiem", dr. Schreiber zakończył patetycznie:

„Niema w tych postulatach ani jednego żądania, któreby stało w sprzeczności z interesem państwa polskiego. W interesie państwa leży, by z trzech miljonów żydów uczynić szczęśliwych obywateli. Żydzi umieją być wdzięcznymi. Patrzcie się tylko na zachowanie żydów w Austrji, gdzie należeli do najwierniejszych elementów za to, że Austrja ich jako tako traktowała. Jeżeli Polacy głębiej wejdą w interesa żydów, wówczas pozyskają w żydach wierny i wdzięczny element, który wszystkie swe zdolności i umiejętności postawi do dyspozycji dla pracy około rozwoju Państwa Polskiego".

Przeciw niektórym ustępom przemówienia dr. Schreibera protestowali bezpośrednio dr. Stahl, hr. Skarbek, hr, Lasocki i dr. Loewenherz, bronił zaś dra Schreibera dr. Rosmarin.

Drugim mówcą syjonistów był senator profesor Mojżesz Schorr. Twierdził na wstępie, iż u żydów „religja a narodowość to dwie nieodłączne siostrzyce", przeciwstawiał się asymilacji, bronił dwu języków, hebrajskiego i żargonu, bo obydwa są żywe i wykształcone, przypominał wielkie znaczenie żydów w XVI w., gdy „Polska była metropolją duchową dla żydów ościennych państw". I wyciąga konkluzję:

Kwestja żydowska w Polsce w całokształcie problemów, które mieści w sobie, jest tylko częścią integralną kwestji żydowskiej ogólnej i nie może być rozpatrywana inaczej, jak tylko na tle całego rozwoju dziejowego żydów w czasie, a w organicznym związku z kwestją żydów jako dwunasto miljonowego narodu wogóle w przestrzeni.

„Stoję na gruncie narodowo-żydowskim, uważam się za członka narodu żydowskiego, którego ideały i nadzieje podzielam. Jako taki pragnę obok rzeczywistego, ustawami zagwarantowanego, równouprawnienia obywatelskiego, także przyznania żydom, jako mniejszości narodowej, pewnej sumy praw zbiorowych, któreby im umożliwiły swobodę rozwoju życia narodowego".

Określa dalej, co uważa za autonomję kulturalną. Uważa, iż żydom przysługuje prawo tworzenia własnych szkół ludowych i średnich (obok pełnego równouprawnienia w korzystaniu ze szkół narodowo-polskich), żąda założenia państwowej szkoły rabinackiej, utworzenia katedr żydowskich na uniwersytetach, poczem deklaruje lojalność i wierność dla państwa, a szczery, przyjazny stosunek do narodu polskiego. Liczy na rzetelną zgodę i trwałe porozumienie, o ile społeczeństwo żydowskie cieszyć się będzie najszerszą autonomją.

Stanowisko syjonistów poparły trzy dalsze grupy: ortodoksi, Poale-Syjon i żydowska partja socjalno-demokratyczna. Mimo innych słów, odmiennych formuł, specjalnych motywów u jednych z dziedziny proletarjackiej, u drugich z dziedziny religijnej, wszystkie te grupy stanęły na gruncie narodowo-żydowskim i wysunęły te same, co i syjoniści, żądania, streszczające się w zupełnem równouprawnieniu politycznem i w autonomji narodowo-kulturalnej, czy jak mówili sami—narodowo-personalnej.

(Dok. nast.) STANISŁAW RYMAR

SEN LITERACKI

...„KTOŚ znowu przeszedł butami po pokładzie, jakieś głosy gadają ponad głową, a tuż przy uchu śpierana woda ciska pluskami o burtę [1]). Woda, woda naokoło, jak okiem sięgnąć, tłoczy się i zalewa wszystko, to znów bezszelestnie ucieka, ucieka... Białe zęby Andrzeja Rorata błyskają kontrastem z czernią jego włosów. Hajnuś pokrzykuje do innych bosmanów na mijanych berlinkach... Apolonja Matyjas budzi się w swej kajucie. Woda pluszcze za burtą, klaszcze po burcie rękami płynnych fal"...

Obrazy, wrażenia, głosy mieszają się, tłoczą, formują się w świadomości to słabiej, to mocniej... Tyle wrażeń nowych, obcych, egzotycznych... Jaki temat! Nikt jeszcze dotąd...

P. Boguszewska budzi się. Pływanka z Lewandowską, jedyną na Wiśle dyplomowaną szyper-

[1]) H. Boguszewska i J. Kornacki (Zespół literacki „Przedmieście"): „Wisła". Powieść. Warszawa-Lwów (1935). Książnica-Atlas, str. 321.

ką dała plon obfity, obfity nadspodziewanie. Świat obcy, niezwykły i tajemniczy, ludzie wodni dziwną gadający mową, ludzie prości, pracujący, szarzy. Dotąd jeszcze wszystko wydaje się nadzwyczajnym snem. Tak też wygląda owoc tej podróży na spotkanie przygody wśród szarych ludzi—„Wisła" jest tylko snem, mimo wysiłków przerobienia go w skończoną konstrukcję dzieła sztuki. Jak sen zawieszona jest w powietrzu, dzieje się wszędzie i nigdzie, pełna jest fragmentów, epizodów niekiedy bardzo wyrazistych, ale niepodporządkowanych żadnej jedności, żadnemu celowi, jednolita pod względem nastroju (sen ponury i ciężki), ale nieukształtowana, płynna jak Wisła sama.

Tu też leży niebezpieczeństwo oceny, oczekującej na kontrofensywę pisarza: o to mi właśnie chodziło, tak wygląda życie na rzece—płynne, ciągle zmienne, nie ustalające się jak tylko chwilowym epizodem, znaczące się rytmem plusku szybko uciekającej wody. Jeżeli chodziło o uchwycenie tego bardzo powierzchownego obrazu i o nic więcej, to zamierzenie się udało, a na plan pierwszy właśnie jako najwyrazistszy szczegół obrazu wybija się woda—nowe otoczenie fizyczne silnie przemawiające do wrażliwości pisarzy, którzy znaleźli dlań wiele pięknych ujęć. Ludzie natomiast tworzą chaos, a chyba o nich przedewszystkiem chodziło pisarzom nawskroś społecznym „Przedmieścia". Sądzić należy, że celem było scharakteryzowanie środowiska, odnalezienie w niem cech mocno wyróżniających, a przez ich wyodrębnienie namalowanie pełnego, wyrazistego i mocno przemawiającego obrazu. Czy to się udało? — chyba nie.

Zabrakło artystycznej wizji, koncepcji życia, utopionej, zagubionej w objektywizmie obserwacji. Trudno tłumaczyć dlaczego takie właśnie odnosimy wrażenie i przekonywać, że jest to wrażenie powszechnie odnoszone. Może ulegamy nastrojowi chwili w swej niechęci do brnięcia przez „Wisłę". W takich razach najlepiej robi porównanie, tembardziej że samo się narzuca każdemu kto miał w ręku powieść A. P. Herberta p. t. „*Water Gipsies*" [2]) (Wodni cyganie), wydaną przed paru laty. Zawierając z nią ponownie znajomość, odrazu przypominamy sobie szereg plastycznych, mocno narysowanych postaci, życie wartko biegnące i mieniące się tysiącznemi przejawami, a na jego tle wyraźnie zaznaczające się egzotyczne w każdym kraju środowisko „wodniackie". Odrębność, cechy charakterystyczne są widoczne dopiero na kontrastowem tle rozmaitości innych środowisk społecznych i fizycznych, przez mocne związanie z życiem narodu, czy jednego miasta, prowincji, choćby przez zestawienie z nielicznymi, ale typowymi jego reprezentantami. Książka Boguszewskiej i Kornackiego wisi jak się rzekło w powietrzu. Egzotyzm, odrębność zaznacza tylko szereg niezrozumiałych nazw technicznych, dla niewiadomych powodów — może dla snobizmu — nieopatrzonych wyjaśnieniami. Ale zamiast wywoływać nastrój obciążają one tylko powieść: „Andrzej powoli, powoli zdejmuje przez głowę sweter i z nabożeństwem układa go na h e n i, na wysokiej półce w rogu przy ż y c z e m e l u. Potem niechętnie, ale już coraz szybciej znosi ze wszystkich kątów ł a d o n k i różne potrzebne p o r z ą d k i i układa je cichutko na podłodze tuż przy oszalowaniu f e r s z l a k ó w prawej burty" (str. 106). Jakiż obraz plastyczny wywołują te dwa zdania w wyobraźni niewtajemniczonego? Oczy czytającego zatrzymują się na niezrozumiałych wyrazach, uwaga i tak już mało napięta i z trudem utrzymywana rwie się i trudno ją spowrotem nawiązać. I poco ten snobizm?

Kiedyś nad morzem znałem pewnego nauczyciela, który miał podobny snobizm na punkcie Kaszubów. Nałapawszy wyrażeń z ich mowy i nieudolnie imitując akcent usiłował zapomocą bohaterskiego i ryzykownego łamania języka zbliżyć się do rybaków, upodobnić się do nich. Zabawna figurka bladego inteligenta w dziwacznym letnickim stroju zyskała rzeczywiście po pewnym czasie popularność... pośmiewiska. Biedak tak był zapalony do swej misji, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. „Bujano" go też porządnie. Kaszubi, lubiący pożartować, opowiadali mu niestworzone dziwy, na co ów reagował pełnem ekstazy: „Jo, jo!"

Czytając „Wisłę", nie mogłem jakoś się pozbyć tego wspomnienia, aczkolwiek Kaszubów znam nieźle, a nigdy nie pływałem na berlince po Wiśle. Właśnie owo oderwanie egzotycznego środowiska od życia, nawał materjału obserwacyjnego, opierającego się ujęciu w ramy koncepcji artystycznej, brak plastyki całości przy plastyce poszczególnych epizodów utrzymują mnie w tem przekonaniu. Pływanka z szyperką Lewandowską nie mogła dać nic więcej prócz materjału. Autorzy szukali nie tła dla koncepcji, ale samego tematu. Nie znaleźli go, bo nie zdążyli przeniknąć środowiska. O ileż bliżsi, wyraźniejsi są ludzie z „Wozów z cegłą". Tu materjału chyba jeszcze więcej, ale całość to tylko sen, złożony z poplątanych fragmentów doświadczenia i wrażeń. Takie szukanie tematu przez „zawodowego pisarza" w egzotycznem środowisku jest bardzo częste w naszej współczesnej literaturze, niewiele mającej do powiedzenia od siebie. Dość wspomnieć podróż Goetla do Indyj i Kadena do Zagłębia.

Poszukajmy w „Wiśle" więzi konstrukcyjnych; jedność całości jest czasowa: opis jednego roku pracy na berlinkach, tytuły rozdziałów odpowiadające poszczególnym fazom roku wskazują na to jeszcze wyraźniej. Ale przy tej jedynej więzi konstrukcyjnej czasowej czas nie jest przecież elementem treści wewnętrznej dzieła. A więc koncepcja budowy sztuczna, a raczej dowolna. Powieść staje się reportażem, a reportaż nie jest wogóle dziełem sztuki, tylko stylizowaną, a często poprostu fałszowaną fotografją życia, zastępującą przeżycie obserwacją. W tych też warunkach zrozumiała jest praca zespołowa, trudna do pojęcia przy istotnem tworzeniu artystycznem dwojga tak zdawałoby się odmiennych ludzi.

Dlatego też „Wisła" jest taka nudna mimo ciekawych epizodów i ujęć, jak choćby scena początkowa i końcowa, noszące zresztą bardzo wyraźne ślady wpływu techniki filmowej. Powieść Herberta doczekała się w pierwszym roku siedmiu wydań. „Wiśle" nie rokujemy nawet drugiego. Zato napewno fragmenty jej dostaną się do wypisów szkolnych. Zalety stylistyczne i praca obserwacyjna są niewątpliwe. Ale 321 stron czytanki o flisakach to stanowczo zadużo, nawet dla bardzo cierpliwego czytelnika.

Jeżeli porównamy trzy główne utwory Boguszewskiej: „Całe życie Sabiny", „Jadą wozy z ce-

---

[2]) Methuen 1930.

głą“ i „Wisłę” z tego punktu widzenia — musimy stwierdzić, niestety, zamiast postępu degryngoladę. O ile pierwsza powieść właśnie pod względem koncepcji artystycznej była ciekawa i obiecująca, a druga frapowała jeżeli nie głębią przeżycia, to w każdym razie pełnią obserwacji, przy wyraźnem zachwianiu konstrukcyjnem, to trzecia odznacza się fragmentarycznością obserwacji i zupełnym brakiem koncepcji artystycznej poza techniką reportażową i myślą społeczną (armja jako katorga). O braku krystalizacji koncepcji świadczył już tytuł (spełniający w dziele sztuki właśnie rolę ostatecznej klamry, zamykającej całość): „Jadą wozy z cegłą”—zupełnie przypadkowy i niezwiązany z treścią poza formalnym refrenem.

„Zespół literacki Przedmieście” nie może się specjalnie popisać dorobkiem. Ze sporej grupy pisarzy legitymujących się jedną nowelą w dorocznie wydawanym zbiorowym tomie („Przedmieście”, „1 maj”) zredukował się do dwu osób. Gdy porównujemy „Całe życie Sabiny” z „Wisłą” mamy ochotę zapytać, czy nie byłaby wskazana dalsza redukcja. Szkoda dużego talentu. A może nawet dwu talentów.

A. M.

DO ŻYCIORYSU ŻEROMSKIEGO

W CZASOPIŚMIE „Ruch Literacki” (nr. 7—8 z r. 1935) Wacław Borowy zamieścił kilka listów Stefana Żeromskiego z lat 1896—1897. Są tam listy pisane do żony z Rapperswylu, gdzie Żeromski był bibljotekarzem.

Okres Rapperswylski dość dokładnie jest znany, że wskażę moje „Wspomnienia” o Żeromskim (wydane w 1927 r.) oraz materjały p. t. „Żeromski w roli prokuratora” w „Pamiętniku Koła Kielczan” z r. 1929 (str. 73—84). Tutaj w „Pamiętniku” podałem bliższą wiadomość o ś. p. Ignacym Domagalskim, nie będę więc jej teraz powtarzał z okazji listu, który poniżej przytaczam.

List ten pisze p. Oktawja Żeromska do Ignacego Domagalskiego, kiedy ten zamieszkał już we Lwowie. Oryginał tego listu zawdzięczam ówczesnej narzeczonej Domagalskiego, o której w liście mowa, obecnie wdowie, p. Karolinie ze Smoleńców Domagalskiej.

Z. W.

Rapperswyl 8/I 95 roku

Szanowny Panie!

W imieniu Stefana, Heniutki[1]) i swojem przesyłam serdeczne życzenia dla Was Obojga. Pańską narzeczonę znam osobiście, pozwalam więc sobie prosić o ucałowanie Jej specyjalnie odemnie i Heni, a Jej rączek od Stefana. Jeżeli Pani zapomniała o nim, to proszę przypomnieć Jej Nałęczów, Jadwigę Trepczankę, moją kuzyneczkę, do której panna Smoleńcówna przychodziła do owego mieszkania na dole w Kursalu, a ja byłam bardzo szczęśliwa poznać Ją, bo słyszałam o Jej pracy w Warszawie.

Stefan w tej chwili nie może pisać do Pana, chociaż bardzo tego pragnął, ale siedzi skulony i pracuje na gwałt już od 10 dni nad sprawozdaniem, którego z powodu jak zawsze opieszałości Pana Rużyckiego nie mógł wcześniej zrobić, a teraz musi kończyć nawet u siebie w domu wieczorami. Ale ponieważ w takiej chwili i tak nie nudziłby Pana interesami, a ja uczucia jego serdeczne obiecałam żywo przedstawić Obojgu Państwu, więc nie będzie się Pan gniewał na niego, za brak obiecanego wiersza 14-zgłoskowego i własnoręcznego listu.

Zdrowie Stefana jest obecnie niezłe, pomimo że pracuje strasznie, bo chce koniecznie zmusić Rużyckiego do wszelkich cnót, do żalu za grzechy, do pokuty, do poprawy i do pokory.

Sędziwy nasz Kustosz jest mocno ujeżdżony i niepoznałby Pan kochaneczka. Jeżeli to on przyczynił się, że Pana tu nie zatwierdzono, to Stefan mu odpłacił za to.

Nie uwierzy Pan, Stefuś taki spokojny, łagodny, — łajał go, wymyślał i to przy świadkach, powiedział mu w oczy wszystkie zarzuty. — Czasami krzyczał na niego jak na zwierza, tak, że musiał zmienić ton, i dziś wyrażenia „Nie Pan mnie powiesz”, „ja wiem najlepiej”, „30 lat tylko to robiłem” i t. p. już wyszły u nas z użycia. Teraz na każden przedmiot musi być dokument i po kątach nie brudzą się sztychy i nie leżą w kurzu, a wspaniałe głupie napisy według gramatyki pana Rużyckiego pisane, już nie ozdabiają sal muzealnych.

Doprawdy ja sama nie znałam Stefana z tej strony, że może być taki twardy i przykry,—i cieszę się, że nie przychodzi mu na myśl odkryć we mnie różne wady, jest żelazny w swych postanowieniach, musiałabym drżeć i poprawiać się duchem!!

Wszelkie wizyty i łatanie stosunków ustały jeszcze za bytności Wasilewskich i gdy oni na pożegnanie fetowali Rużyckiego w Du lac'u[2])—myśmy nie poszli i od tej chwili Stefan postanowił sam walczyć, a przekonawszy Bukowskiego, przeprowadził co chciał.

Nie ma już wprawdzie czułych herbat z opowiadaniem sto razy słyszanych anegdot, może być, że z czasem sędziwy Kustosz zemści się na nas, ale teraz stosunek idealny, bo się boi Stefana.

Wieczorami siedzimy sami, Stefan pisze swe nowelle, albo czyta głośno. Nawet humor mu służy po wygranej batalii. Obiecywałam i sobie i Stefanowi, że o nic Pana nie będę prosiła, a jednak w tej chwili coś mi się pod pióro nawija. Może Pan znajdzie chwilę czasu i wpadnie do Redakcyi Kuryjera Lwowskiego.

Popełniłam poważne głupstwo i wysłałam przed świętami do Wysloucha nowellę Stefana „W sidłach niedoli” nie rekomendując.

[1]) Córeczka p. Oktawji, obecnie Witkiewiczowa.

[2]) Hotel Du Lac.

Ponieważ był i list, a odpowiedzi niema, obawiam się, czy paczka doszła, proszę się rozpytać i jeżeli Pan zna Wysłoucha, to Stefan prosi o zapytanie go osobiście, czy będzie drukował jego nowellę i czy w tym miesiącu? bo jeżeli nie, to uprasza tenże Stefan o zabranie jego utworu z redakcyi i odesłanie do p. Kostkiewicza, Kraków Szewska 6.

Proszę nam przebaczyć ten kłopot, — i tylko w takim razie spełnić naszą prośbę, jeżeli narzeczona pozwoli.

Jeszcze raz szlemy Wam serdeczne pozdrowienia „Szczęść Boże“ i zapraszamy na wiosnę do nas w góry.

Henia całuje Pana,— chciałabym, żeby Pan ją zobaczył, jak urosła,—umie już robić pończochę — i teraz uczy się czytać i pisać po polsku. Do szkoły chodzi — i po szwajcarsku mówi, jak rodowita szwajcarka,—ale polskiego nie kaleczy.

Szczerze życzliwa

OKTAWJA ŻEROMSKA

WILK GROMNICZNY

Szła Najświętsza przez bór Panienka,
miała płaszcz błękitny, białą sukienkę
i szło wilczysko chytre, przyczajone, przemarznięte
za Panną Świętą.

Wilka szukali z kłonicami,
jak go znajdą, kości mu połamią:
zeżarł zeszłej zimy cielę białe, prześliczne
w samą Gromniczną!

Spotykają chłopi Świętą Podróżną,
zdejmowali czapki, patrzą napróżno:
„Wybacz nam, Pani Wspaniała,
czyś wilka nie widziała?

Zjadł on sierotce Jasi jagnię chude,
zagryzł wołu w stajni i psy po budach.
Wielka twa łaska, Matko, straszna jego ohyda,
więc nam go wydaj!”

„Anim go szukała, ani go wydam.
Patrzcie lepiej po sercach, to się wam przyda,
bo tam właśnie, a nie śród leśnych ścieżyn
wilk leży!”

Poszły rosłe chłopiska, milcząc do chałup.
Ogląda się Panienka po śniegu białym,
ogląda się wszędzie, aż z pod płaszcza jej milczkiem
wylazł łeb wilczy!

„A tuś mi, zbójco jagniąt bezbronnych!?
Katom cię wydać byłabym skłonna,
tylko że nad twą wilczą niedolą
serce mię boli.

Skoroś sam znalazł moją opiekę,
zostań już przy mnie, bo gdzie uciekniesz?!
Będziesz mi za to roztropnie służył
zimą w podróży.”

Odtąd chodzi wilk z Matką Najświętszą wiernie
przez śniegi puste, zawiane ściernie,
pełniąc śród nocy mroźnych i długich
różne posługi.

A kiedy jasną gromnicą świeci
Panna Przeczysta pośród zamieci,
tuż i Gromniczny Wilk za swą panią
jarzy ślepiami.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Feliksa Młynarskiego: „Człowiek w dziejach“ — Słuszne wskazania. — Nowy podział historji na okresy. — Dawność świadomości narodowej. — „Nacjokratyzm“ i kwestja żydowska.

NOWĄ książkę Feliksa Młynarskiego p. t. „Człowiek w dziejach” [1]) czytałem z uczuciem zadowolenia, jakie w nas budzi obcowanie z dziełem, świadczącem o talencie pisarskim, rozległej wiedzy, bystrym umyśle i patrjotycznej intencji autora. Zadowolenie stawało się tem silniejsze, skoro stwierdzałem, że konkluzje ustrojowe, które sformułował, wydają mi się— w tem ogólnikowem ujęciu przynajmniej — zgodne zarówno z tradycją historyczną narodu polskiego jak potrzebami i warunkami chwili dzisiejszej.

Jakie są, mianowicie, te wskazania? Feliks Młynarski najstanowczej potępia hasło „państwa totalnego”, widząc w niem skrępowanie i poniżenie jednostki ludzkiej, a w rezultacie zanik jej zdolności twórczych i bezwład powszechny; uznaje, że „najwyższą formą uspołecznienia”, zapewniającą „prymat moralny” zbiorowości nad indywiduum, przy równoczesnem nie gaszeniu „iskry Bożej” w człowieku jako „w twórczym podmiocie dziejów”, jest naród europejski, ukształtowany pod podwójnym wpływem wychowawczym: etyki chrześcijańskiej i rzymskiego prawa. Stąd wyprowadza zasadniczy postulat „nacjokratyzmu” t. j. „takiej reorganizacji społeczeństw, aby narodom przysługiwała wewnętrzna suwerenność nad państwami narodowemi”. Mimo całej swej, nie ukrywanej niechęci do faszyzmu i hitleryzmu, autor z uznaniem godną objektywnością wskazuje, że takie zjawiska, jak konstytucyjnie zapewniona rola organizacji faszystowskiej w nowym ustroju Włoch, jak rzucone przez Hitlera hasło: „*Die Partei befiehlt dem Staat*” — oznaczają „pierwszą, podświadomą próbę zorganizowania całego narodu, aby w ten sposób zapewnić mu prymat przed państwem jako organem wykonawczym”. Zarazem wszakże z całkowitą słusznością dodaje, że „dyktatura partji jako forma techniczna zwierzchnictwa narodu, nie odpowiada ani celowi, ani wielkości ideału. Naród, jako realna instytucja prawa konstytucyjnego, winien nosić gronostaje, a nie zaszarganą opończę partyjną”.

Więcej zastrzeżeń, niż te prawdy ogólne i niewątpliwe, wywołać mógłby ten i ów wywód z dziedziny historjozofji czy socjologji, mający być dla tez powyższych wstępem i uzasadnieniem. Już sama chęć ukazania dziejów powszechnych (czy choćby tylko cywilizacji europejskiej) w postaci pewnej, w określonym kierunku dokonywającej się ewolucji, — ma w sobie coś z ideologji „postępu”, dzisiaj jakgdyby już nieco... staroświeckiej. Takie zresztą spojrzenie syntetyczne na rozwój ludzkości jest zadaniem nieskończenie trudnem, skoro się musi ogarnąć wzrokiem tyle, i tak niezmiernie różnorodnych czynników. Tem tłumaczy się, że np. Feliks Młynarski, z wykształcenia i zainteresowań przedewszystkiem ekonomista, główną uwagę zwracający na kształtowanie się idej społeczno-prawnych, nie docenił dostatecznie wartości średniowiecza, które najtrwalej, najdoskonalej wyraziły się właśnie w dziedzinie myśli religijnej i sztuki („Boska komedja”, katedry romańskie i gotyckie). Tem tłumaczą się i takie, dość osobliwie brzmiące zdania, jak to np., kiedy głosząc chwałę dorobku XIX stulecia, zapytuje: „Czy teorja mnogości w czystej matematyce była i jest czemś uboższem duchowo od mistyki klasztornej w epoce feudalizmu?”

Nie znaczy to, by i w tej historjozoficznej części książki Młynarskiego nie znajdowało się wielu myśli cennych, uwag przenikliwych i głębokich. Jakże trafne np. jest przeniesienie daty początku wieków średnich o sto kilkadziesiąt lat wstecz, uznanie za zakończenie epoki starożytnej nie epizodu detronizacji Romulusa Augustulusa przez Odoakra (r. 476), ale faktu legalizacji chrześcijaństwa przez Konstantyna Wielkiego (r. 313), faktu istotnie zmieniającego p o d s t a w ę, na której oparty był stosunek jednostki i społeczeństwa do państwa, i — w ogólności — cały porządek polityczno-moralny antycznego świata [2]).

O wiele mniej przekonywająca jest natomiast druga propozycja autora, by za następną, takąż datę przełomową, za ostateczny koniec czasów średniowiecznych przyjąć dopiero — Wielką Rewolucję Francuską. Nie pomniejszając doniosłości dziejowej tego zdarzenia, trudno się zgodzić, aby przyniosło ono ludom „nową wiarę”, zasięgiem swoim i świeżością idej bodaj częściowo dorównywającą przewrotowi, dokonanemu, kilkanaście wieków przedtem, przez chrystjanizm. Coraz widoczniejsze jest, iż w rewolucyjnych „Deklaracjach praw” i t. d., których znaczenie w ciągu stu lat wyolbrzymiali i zwolennicy i przeciwnicy, — to, co jest trwałe, znane było właściwie już oddawna, nowe formuły zaś okazywały się nieraz i powierzchowne w swem ujęciu, i bałamutne. Nawet we Francji pozytywne dzieło Rewolucji — i w zakresie reform wewnętrznych i polityki zagranicznej— było w ogromnej mierze nie przeciwieństwem, ale kontynuacją wytyczonej przez historję ubiegłych stuleci linji rozwojowej. Tem mniejszy przecież musiał być wpływ w innych krajach, np. w Anglji, której tradycyjne formy konstytucji z takim zapałem w XIX wieku bywały na kontynencie europejskim naśladowane. A choćby u nas — pomimo tylu związków z Francją — czyż rewolucyjno-mesjanistyczna ideologja doby porozbiorowej nie miała w treści swej bez porównania więcej ducha obrońców Baru niż zdobywców Bastylji, nie była bliższa księdza Marka i Pułaskich, niż Robespierre’a?

I tu nasuwa się jedna jeszcze, bardzo ważna uwaga. Błędem jest mniemać, że świadomość narodowa jest wytworem dopiero ostatnich lat stu kilkudziesięciu (zrodzona jakoby pod wpływem haseł i wojen Wielkiej Rewolucji), że ludzie przedtem tak zasadniczo odmiennie mieli skonstruowaną duszę, iż obce było im, co w nas jest instynktem najgłębszym, że żyli w jakimś innym całkiem świecie, jak mieszkańcy innego planety. Warto przeczytać, co o napięciu świadomości narodowej w Polsce w wieku XIII i XIV piszą najnowsi ba-

[1]) F e l i k s M ł y n a r s k i: „Człowiek w dziejach. Jednostka — Państwo — Naród”. Warszawa, nakładem Trzaski, Everta i Michalskiego, str. 199.

[2]) Bezzasadność uznawania roku 476 za początek nowej epoki w dziejach wykazał przed paru laty prof. K a z i m i e r z Z a k r z e w s k i w rozprawie p. t. „Rewolucja Odoakra”, Kraków, 1933, nakł. Akad. Umiej.

dacze naszego średniowiecza: St. Zachorowski i R. Grodecki. I czyż moglibyśmy czuć solidarność moralną z tym łańcuchem pokoleń, gdyby „poczciwa sława", głoszona przez Kochanowskich, nie była — w istocie swojej — tymże samym, co nasz, nakazem etycznym dobrowolnej służby dla „pożytku dobra spólnego"?

Feliks Młynarski z naciskiem wskazuje, że „pierwszeństwo interesu narodowego przed interesem jednostki musi wywodzić się z aktu wolnej woli człowieka, z jego decyzji i wyboru, a nie jest czemś danem przez naturę jako rzecz gotowa, zgóry przychodząca i ogarniająca człowieka." Uznając to, z równym naciskiem wypada uzupełnić, że naród, będąc w całej pełni zrzeszeniem, opartem na dyscyplinie wewnętrznej, dobrowolnem, nie jest jednakowoż czemś dowolnem: jest dobrowolną akceptacją ze strony jednostki właśnie „danych przez naturę", właśnie „zgóry jako rzecz gotowa", we krwi i tradycji pokoleniami przekazywanych instynktów, przywiązań, ideałów. Z tej racji przeto przynależność do narodu określają także pewne kryterja objektywne i one również, zwłaszcza gdy przyjdzie pora formułować szczegółowiej projekty ustrojowe, muszą być przecież w należyty sposób i we właściwej mierze uwzględnione. Bez tego wszelki wogóle „nacjokratyzm" stałby się w praktyce czemś najzupełniej nierealnem, hasłem bez treści, szczególnie w krajach, w których jak u nas tak wielki jest odsetek ludności żydowskiej...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

GŁOŚNEM ECHEM ROZLEGŁ SIĘ PO ŚWIECIE proces, który w tych dniach toczył się w skromnej salce sądu grodzkiego XIII okręgu w Warszawie. Prezes Polskiej Akademji Literatury, senator Wacław Sieroszewski, wytoczył sprawę redaktorowi tygodnika „Prosto z mostu", p. Stanisławowi Piaseckiemu, domagając się surowego ukarania go za to, że ten w organie swoim zamieścił fotomontaż, w którym jego postać przybrana była w mundur rosyjskiej armji, a podpis pod tą ryciną przypominał, że p. Sieroszewski domagał się z mównicy senackiej zachowania Berezy Kartuskiej.

Obrońca Hofmokl-Ostrowski i sam redaktor tłumaczyli, popierając słowa dowodami, że karykatura po wszystkie czasy i miejsca nie była i nie jest ścigana, a zresztą to, co o wystąpieniu rzeczonem w prasie pisano, było znacznie surowsze jako charakterystyka i potępienie, niż ten żart, który przecież nie byłby się pojawił, gdyby nie mógł być właśnie ilustracją tej bolącej dla p. Sieroszewskiego opinji, na którą on nie reagował.

Sędzia skazał redaktora Piaseckiego na tysiąc zł. grzywny.

Nie będziemy rozstrząsali samej sprawy; niewątpliwie rozejrzy ją jeszcze raz sąd odwoławczy. Nie możemy się jednak powstrzymać od wyrażenia żalu, że pisarz, któremu społeczeństwo polskie słało pod nogi róże, tak mu obecnie naprzykrza się swoją wielkością polityczną, wzniesiona na gruzach dawnych ideałów.

PRZYPOMNIJMY SOBIE PLAKAT Z PRZED KILKU LATY, który głosił dosadną wymową statystyki, iż co drugi dzień umiera w Polsce student na gruźlicę. Co drugi dzień gasło jedno młode życie, wyczerpane niedostatkiem materjalym, dobijane głodem... Tak było przed kilku laty, w okresie t. zw. dobrej konjunktury gospodarczej — cóż dopiero mówić o dniu dzisiejszym, złośliwym, nieprzychylnym, ciężkim?

Warunki bytowania pogarszają się niemal z każdą godziną. Zdawałoby się, że w miarę narastania trudności winno się wyczuwać troskliwą opiekę, jedynego dzisiaj, wobec zabicia inicjatywy prywatnej, mecenatu — państwa. Tymczasem słynne reformy w dziedzinie nauczania braci Jędrzejewiczów spiętrzyły jeszcze bardziej przed łaknącą nauki młodzieżą przeszkody, a jedną z najgłówniejszych stała się sprawa opłat akademickich. Kiedyś, już nawet za czasów pomajowych, było tak, że wszelkim próbom demagogicznym niknącej z każdą chwilą lewicy, domagającej się całkowitego zniesienia opłat akademickich, opierała się stanowczo młodzież narodowa, kierując się względami dobra, a raczej interesu państwa. W momencie jednak, gdy podwyższone niepomiernie opłaty stały się ciężarem uniemożliwiającym dosłownie studja, musiał się zrodzić gest protestu. Chodzi tu bowiem o rzecz najważniejszą — przyszłość naszej kultury. Już w parę miesięcy po ukazaniu się rozporządzenia o podwyższeniu czesnego w szkołach akademickich można było zanotować fakt wielce znamienny: oto na wydziale rolnym Uniwersytetu Jagiellońskiego zabrakło zupełnie synów chłopskich. Wieś poczęto karmić teorją o „szarym człowieku", wcielając tę teorję w życie przez wytwarzanie istotnie szarego życia. Liczba zapisujących się na wyższe uczelnie poczęła maleć i maleć, liczba natomiast zagrożonych relegacją poczęła wzrastać i wzrastać...

Udano się aż do samego kierownika min. W. R. i O. P., prof. Chylińskiego, który począł rozkładać ręce w poczuciu swojej bezsiły, ukazując delegacji ministerjum skarbu, jako jedyny czynnik kompetentny. Oczywistą było rzeczą, iż widoki na jakikolwiek pozytywny skutek interwencji były bardziej aniżeli znikome. To też dnia 24-go stycznia b. r. doszło do jednodniowego manifestacyjnego strajku młodzieży w całej Polsce. Front akademicki, zwracający się przeciw nadmiernym opłatom i żądający zwiększenia subsydjów dla kas instytucyj samopomocowych, był imponująco jednolity. Nikt się nie ważył złamać solidarności. Jedynie tylko w Wilnie usiłowali wejść do sal wykładowych żydzi... Zrozumiałą jest rzeczą, że cała akcja młodzieży polskiej nie była na rękę ich planom — przecież pauperyzacja kraju dotknęła przedewszystkiem ludność rodzimą, a słynne reformy min. Jędrzejewicza szły tem samem na rękę zamożnemu, mieszkającemu w miastach żydostwu.

Okruchy t. zw. młodzieży lewicowej, aczkolwiek swym liczebnym wyrazem nie wiele mogły wzmocnić manifestacyjną postawę jednolitego wśród młodych Obozu Narodowego, poparły jednak akcję strajkową. A jednocześnie kolportowały pisemka w rodzaju „Walki Młodych" oraz ulotki biorące pod ojcowską opiekę burżuazyjną młodzież żydowską i protestujące w imię haseł humanitarnych przeciw odseparowywaniu żydów w salach wykładowych i pracowniach.

Czyż przykład Wilna nie ukazuje w sposób przekonywający nawet i komunizujących, iż żydzi sami wyraźnie separują się od biegu i zagadnień naszego życia?

POZAGROBOWE ZWYCIĘSTWO OSZUSTA STAWISKIEGO jest faktem dokonanym: na dwudziestu członków świeżo skleconego przez Sarraut'a rządu francuskiego ośmiu było z nim związanych wspólnością interesów oraz ścisłemi stosunkami towarzyskiemi I tak: C. Chautemps (b. premier) był jego protektorem, jak to wynika z oświadczeń A. Tardieu, złożonych komisji śledczej w Izbie Deputowanych; Paul-Boncour był także protektorem Stawiskiego i jego żony; G. Bonnet pozostawał z nim i z jego agentami w ścisłych stosunkach, tak samo P. Flandin. Gurnut, obecny minister oświaty, jako prezes wspomnianej komisji parlamentarnej, pokierował tak ankietą, że główny oszust został wybielony, a jego wspólnicy ze sfer politycznych oczyszczeni z zarzutów.

Pod tym względem niemałe zasługi oddali dwaj obecni podsekretarze stanu, I. Zay i R. Besse. Osobliwością w składzie obecnego rządu Francji jest właśnie ten poseł radykalno-socjalistyczny, Jean Zay, plugawy żydek, który jest autorem „poematu" bezczeszczącego sztandar trójkolorowy. W tym nędznym utworze dzisiejszy podsekretarz stanu tak się wyrażał o symbolu Ojczyzny: „Miljon pięćset tysięcy zginęło dla tego paskudztwa trójkolorowego... Nienawidzę ciebie z powodu tych, którzy schylają przed tobą głowę... nienawidzę twych brudnych barw etc, etc"...

Ładne towarzystwo, niema co mówić, zebrało się pod batutą premjera Sarraut, tego samego, który był ministrem spraw wewnętrznych w czasie wizyty króla Aleksandra, i ściągnął na siebie słuszny zarzut niedbalstwa i niedostatecznej ochrony wysokiego gościa. Mniejsza o charakter polityczny tego niezwykłego rządu, bo tu już przedewszystkiem uderza poziom moralny jego reprezentantów.

NAUKA i LITERATURA

STUDJA LITERACKIE BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

POSPOLITĄ formą uczczenia zasługi naukowej stała się u nas odniedawna księga pamiątkowa. Zaćmiła wydawnictwa podobne staranną odpowiedzialnością w wyborze materjału imponująca księga Brücknerowska (1928). Ale niezawsze z uczuciowym charakterem przedsięwzięcia szła w zgodzie wartość istotna ogłaszanych rozpraw. Rzecz, upowszechniona w świecie humanistycznym, wywołała szereg uwag i zastrzeżeń z punktu widzenia organizacji nauki. Zawarł je w ważnym artykule prof. Jan Rutkowski na kartach „Nauki Polskiej" XIV (1931), s. 114 — 116. Dyskusja, którą zagaił wówczas prof. Rutkowski, bez względu na wyniki końcowe, przestrzega przed pośpiechem podobnej inicjatywy wydawniczej.

Pamięci pośmiertnej prof. Bronisława Gubrynowicza, uczczonej doraźnie szeregiem ocen i wspomnień o trwalszem znaczeniu (zob. m. in. „Ruch Literacki" 1933, nr. 5 — 6), służy dziś tom okazały studjów literackich, wydany w Bibljotece Pamiętnika Literackiego, zabiegami i staraniem T-wa Lit. im. A. Mickiewicza. Tom prac drobniejszych zmarłego autora, pośmiertnie już zebrany i ogłoszony, poświęcił od dział warszawski Towarzystwa pamięci swego założyciela i pierwszego prezesa. Taka właśnie forma czci żałobnej — czy kiedyindziej jubileuszowej,—gromadząca w książce rzeczy zapomniane lub trudno dostępne, wydaje się sposobem trwalszym i bardziej nieraz celowym, aniżeli wydawnictwo księgi pamiątkowej, surowo choć ogólnie, sądzone przez prof. Rutkowskiego.

Studja Gubrynowicza[1]), wybrane z plonu naukowego całego życia autora, przynoszą treść rozmaitą i bogatą. Dzieje prasy polskiej XVIII wieku objaśniają dwie rozprawy na marginesie „Monitora" Bohomolca, pełne nieznanych materjałów źródłowych do historji prac redakcyjnych pisma, o dużem znaczeniu kulturalnem. Następuje serja rozpraw o zapomnianych preromantykach polskich (Reklewski, Andrzej i Kazimierz Brodzińscy, Niemcewicz), które rekonstruują linję główną zainteresowań i rezultatów naukowych autora. Ze studjów tych najważniejsze są bodaj prace o Wincentym Reklewskim, poecie miękkim i sielankowym, ale z pokolenia żołnierzy: kampanja roku 1812 przyniosła mu stopień podpułkownika, a zapomniane „Pienia wiejskie" (1811) łączą w sposób charakterystyczny dla epoki wpływy literatury klasycznej i piśmiennictwa ludowego. Preromantyzm i romantyzm — oto czasy, w których prof. Gubrynowicz czuł się najlepiej. Środowisko literackie warszawskie, tło i warunki twórczości pisarskiej Kazimierza Brodzińskiego wystudjował Gubrynowicz z całkowitą sumiennością i precyzją szczegółu. Rzadkie i gruntowne oczytanie w czasopismach współczesnych, do których historyk piśmiennictwa nieczęsto naogół zagląda, przyniosło Gubrynowiczowi znajomość istotną kierunków myślowych i literackich epoki. Zasługuje tu na wspomnienie rozprawa recenzyjna z książki Marjana Szyjkowskiego p. t. „Schiller w Polsce" (1916), rozwiązująca podstawowe zagadnienie porównawcze romantyzmu polskiego. Forma recenzji jest szczególnie charakterystyczna dla publikacyj autora. Gubrynowicz niechętnie bywał sędzią surowym, częściej i świadomie pragnął pozostać „życzliwym pomocnikiem i współpracownikiem" książki ocenianej, przytem rzeczowy i twórczy stosunek do zagadnienia łączył się u autora z chętnem uznaniem zasług cudzych. Z prac ulotnych prof. G. znalazł się w tomie artykuł o śpiewniku akademickim z czasów powstania listopadowego („Guślar Gwardji narodowej" Kaz. Wł. Wóycickiego), który zawiera m. in. nieznany przedruk mickiewiczowskiej „Pieśni Filaretów" p. t. „Czara", pieśń akademicka. Z okolicznościowych przemówień Gubrynowicza ogłoszono z rękopisu charakterystyki syntetyczne Kasprowicza i Reymonta.

Na czele tomu odczytamy z uwagą wstęp pióra prof. Juljana Krzyżanowskiego, przynoszący zarys i ocenę prac naukowo-literackich Br. Gubrynowicza. W historjografji polskiej nieliczne są studja o uczonych. Z książek monograficznych wymienić należy właśnie prof. Gubrynowicza dzieło o Małeckim (1920). Wśród opracowań pomniejszych pamiętamy np. szkic Chrzanowskiego o Nehringu, doskonałe studja Borowego o Chlebowskim, Porębowiczu, Windakiewiczu. Charakterystyka prof. Krzyżanowskiego, trafna i sprawiedliwa, łączy opis pracowni naukowej Gubrynowicza z analizą kierunków metodycznych zamkniętego już okresu filologji polskiej. Celowy układ tomu zawdzięcza czytelnik troskliwości wydawców: Piotra Grzegorczyka i Juljana Krzyżanowskiego.

Lekturze książki towarzyszy przekonanie, że wartość rzetelną pracy historycznej Gubrynowicza uczczono w sposób piękny i trwały.

M.

---

[1]) Bronisław Gubrynowicz: „Studja literackie". Warszawa 1935, s. 311. Bibljoteka Pamiętnika Literackiego, t. 2.

OSTATNIA NOWELA KIPLINGA

OSTATNIA nowela, jaką Rudyard Kipling zdążył wykończyć przed śmiercią, nosić będzie w przekładzie polskim prawdopodobnie tytuł „Teem — poszukiwacz skarbów". Bohaterem owej zwierzęcej bajki jest szczeniak imieniem Teem, nazywany „poszukiwaczem skarbów" z tego powodu, że odziedziczył po przodkach talent wynajdywania trufli.

Utwór ten napisany jest w formie psiego pamiętnika. Teem opowiada najpierw o swojem pochodzeniu z rasy znakomitej, następnie opisuje swoje dzieciństwo i przyjaźń z Wicehrabią Bourier de Brie. Tak się nazywał stary byk, którego na farmie, gdzie Teem się urodził, używano do prowadzenia bydła na dworzec kolejowy, skąd odjeżdżało do rzeźni.

W bardzo młodym jeszcze wieku Teem został sprzedany prostemu chłopu, nie mającemu najmniejszego pojęcia o cenności trufli i o praktycznem ich spożytkowaniu. Teem przywiązuje się serdecznie do swego nowego pana, który jest bardzo biedny i nie ma pieniędzy na leczenie chorej córeczki.

Szlachetny szczeniak postanawia mu dopomóc w ciężkiej sytuacji. Wspaniale Kipling odmalowuje fortele, na jakie piesek się bierze, aby zwrócić uwagę swego gospodarza na trufle. Nie przyszło to tak łatwo, ale ostatecznie piesek sobie poradził w sposób następujący: wygrzebał w lesie sporą ilość trufli i ułożył je na kupce w zaroślach. Następnie z najpiękniejszym okazem trufli w zębach zabiegł drogę przechodzącej w pobliżu właścicielce sąsiedniego pałacu. Dama owa bez trudu dała się zaprowadzić na miejsce, gdzie Teem przygotował zapas grzybów. Następnie rozmówiła się z właścicielem Teema i przyrzekła wykupywać wszystkie trufle zbierane przez pieska. W ten sposób gospodarz Teema znalazł źródło pokaźnych dochodów i mógł od tej pory opłacać kurację córeczki.

W noweli występuje oprócz Teema drugi jeszcze pies: stara suka z rasy owczarków. Obydwa te psy — jak zwykle zwierzęta w nowelach Kiplinga — posiadają psychologję raczej ludzką niż zwierzęcą. Teem jest nietylko fenomenalnie utalentowanym poszukiwaczem grzybów, ale również niepospolitym myślicielem i świetnym literatem, o czem świadczy jego pamiętnik. Myślicielem jest również mistrz i nauczyciel mądrości życiowej Teema — stary byk Wicehrabia Bourier de Brie. Jeden z godnych zapamiętania aforyzmów tego byka-filozofa brzmi: „Artysta poza obrębem swojej sztuki nie powinien być marzycielem". Nowela ta jest długa. Liczy (na oko) z półtora tysiąca wierszy. Została przełożona już na język francuski. Wydrukowano ją w ostatnim numerze paryskiego „*Candide*"'a. Miejmy nadzieję, że wkrótce znajdzie się i u nas tłumacz (obyż dobry), który przyswoi śliczny ów utwór językowi polskiemu.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Wydawnictwo „Wiadomości Literackich" przyznało nagrodę w kwocie 2000 zł. za „najlepszą książkę wydaną w r. 1935" p. Józefowi Wittlinowi.

Nagrodzona książka jest powieścią i nosi tytuł „Sól ziemi". Pisaliśmy o niej w nr. 52 „Myśli Narodowej", z r. ub., nie licząc się zupełnie z możliwością, że będzie ona przez kogokolwiek nagrodzona. Niezależnie od tej nagrody p. Józef Wittlin otrzymał nagrodę czytelników „Wiadomości Literackich" w wysokości zł. 500, uzyskaną w drodze plebiscytu czytelników.

Był to obrzęd całkowicie familijny w łonie redakcji „Wiad. Liter". Nagrody przyznali współpracownicy zgodnie z wolą wydawców. Użyto przytem parawanu, a był nim szumnie ogłoszony Komitet konkursowy. Komunikat redakcji, zamieszczony w „Kur Porannym", podał taką listę sędziów:

„Pełny skład sądu stanowili: Aleksander Świętochowski, prof. Aleksander Brückner, Marja Dąbrowska, Andrze Strug, Juljan Tuwim, Adolf Nowaczyński, Michał Choromański, Paweł Hulka-Laskowski, Kazimiera Iłłakowiczówna, Marja Pawlikowska - Jasnorzewska, Jan Parandowski, Ferdynad Goetel, Antoni Słonimski, Kazimierz Wierzyński i Jarosław Iwaszkiewicz".

Faktycznie sprawa załatwiona była na jednem posiedzeniu, w ktorem wzięło udział kilka osób z redakcji, na końcu wymienionych.

Oczywiście laureat jest żydem.

*

Polska Akademja Literatury na posiedzeniu w dniu 25 stycznia 1936 r. uchwaliła przyznać nagrodę dla młodych w wysokości 2.000 złotych Świato pełkowi Karpińskiemu za tom poezji p. t. „Trzynaście wierszy".

Poza laureatem zgłoszono kandydatury: Wincentego Burka, Konstantego Dobrzyńskiego, Romana Kołonieckiego, Józefa Łobodowskiego, Marjana Niżyńskiego i Stanisława Rogowskiego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Po obszerniejszej, powieściowo ujętej, monografji Parandowskiego o O. Wilde spodziewać się można było od tegoż autora takiejże albo podobnej monografji o Anatolu France, gdyż był to drugi pisarz, szczególnie przez Parandowskiego umiłowany, a pozatem czytaliśmy nawet w jakimś prospekcie zapowiedź owej monografji. Nie dotrzymał Parandowski obietnicy, bo go zajęły inne roboty, nietyle historyczno - literackie czy krytyczne, ile beletrystyczne: najpierw szereg nowel na tematy klasyczne i średniowieczne, następnie powieść o igrzyskach olimpijskich. Ta pono praca przesunęła sferę jego—że tak powiemy — postawy literackiej i jego zamiłowań od estetyzmu Wilde'a przez France'a do ścisłości historyczno-realistycznej Flauberta. Dlatego w przedmowie do tomu *essay*'ów niedawno wydanego p. t. „Odwiedziny i spotkania" (wyd. „Rój"), pisze Parandowski o France'ie jako o „drzwiach zamkniętych", do których już nie ma zamiaru wrócić.

W imię nowych swoich poglądów osądził następnie „Faraona" Prusa. A osądził go surowo za różne nieścisłości historyczne, rzec można, że postąpił podobnie, jak O. Górka z „Ogniem i mieczem" — nad Górką jednakże góruje Parandowski i rozwagą swych wywodów i dobrą znajomością rzemiosła pisarskiego, w której to dziedzinie zresztą oddawna prym bierze. Klasycyzm Parandowskiego znalazł na kartach książki wyraz w dwu rozprawach: o Tadeuszu Zielińskim i J. Kochanowskim. Dwie te rozprawki są entuzjastyczne, a wniosek drugiej z nich odnosi się właściwie do obu: „istnieją szerokie możliwości porozumienia między dobą dzisiejszą a tą literaturą, którą w złych czasach odsunęliśmy dalej, niżby na to zasługiwała".

Ale istnieją podobne możliwości porozumienia się i z dobą inną, ze średniowieczem. Te możliwości wysuwa Massis w swej pracy, która dała Parandowskiemu podnietę do artykułu. „Co jest doniosłe i cenne w tem odsłanianiu średniowiecza, to rehabilitacja wielkiego okresu dziejów ludzkich, niesłusznie i dość pospolicie odsuniętego od głębszych nurtów naszej wrażliwości historycznej" — tak pisze Parandowski, przy całej jednak sympatji dla owego okresu decydując atoli, że Europa dzisiejsza „nie ugnie się pod dyscypliną średniowiecznej pokory i uśmierzenia".

Te rozprawy mają w książce znaczenie największe. Interesująca dysputa z J. Bendą o „Zdradę klerków" jest tylko ilustracją tez autora o Europie dzisiejszej. (J. B.)

*

Ukazały się w drugiem wydaniu nakładem Ossolineum Kazimierza Chłędowskiego „Historje Neapolitańskie" (wiek XIV—XVIII). Stron 534 + 33 ilustracje. Cena zł. 20.

„Historje Neapolitańskie" Chłędowskiego są ostatniem z cyklu wielkich dzieł tego pisarza, poświęconych historji kultury włoskiej. Przedstawia ono dzieje Neapolu nie od strony patetycznej, to jest wielkich aktów politycznych, ale od strony obyczajowej, która kształtowała się pod wpływem trzech wielkich narodów romańskich: włoskiego, francuskiego i hiszpańskiego. Jego treścią — życie osób i warstw przodujących społeczeństwu, w kalejdoskopie wieków. Bujność jego niesłychana wystrzela raz po raz zbrodniami, które dziś jeszcze budzą dreszcz grozy: okrucieństwo, zdrada, mord, trucizna, sztylet czy topór katowski, to niejako zasadnicze jego elementy. Talent i wysoka kultura pisarska Chłędowskiego sprawiają, iż obrazy te, podano w sposób lekki, nie tracą nic ze swej prawdziwości.

ZE ŚWIATA SZTUKI

ESTETYKA ŚWIATŁA J. BUŁHAKA

JAN BUŁHAK „Estetyka światła", str. 279 z ilustracjami autora. Wilno, 1935.

Książka prof. Bułhaka składa się z pisanych w rozmaitych okresach czasu artykułów o fotografji artystycznej. Każdy artykuł jest całością samą dla siebie, pozatem jednoczy je więź wspólnego tematu. Jeśli chodzi o rodzaj artykułów, można je podzielić na kilka grup. W jednej znajdziemy tematy, poruszające zagadnienia techniczne, inna jest poświęcona sprawom estetyki kunsztu fotograficznego, jeszcze inna nosi charakter wspominków historycznych z tegoż zakresu, wreszcie znajdujemy tu również wynurzenia bardziej osobiste, opisy własnych przeżyć podczas pracy w umiłowanym zawodzie.

W któremś miejscu przedmowy powiada autor, iż pewnie go młodzi będą uważali nieraz za nudziarza i moralizatora, za starego gderę. Niesłuszne są te obawy zasłużonego piewcy piękna naszej ziemi — miałem możność sprawdzić to na sobie. Do staruszków się nie zaliczam, a jednak przeczytałem książkę prof. Bułhaka z prawdziwą przyjemnością. Powiem więcej: uważam ją za niebezpieczną i uwodzicielską. Autor urzeka nas swą miłością do odtwarzanych przez się tematów, do swej pracy, podbija urokiem swego wiecznie młodego zapału. Zresztą oddajmy na chwilę głos samemu fotografikowi: „Kochani młodzi przyjaciele! Nie znam waszych imion i twarzy, nie wiem czy urodziliście się nad Wartą, Wisłą, czy Wilją, a jednak jesteście dla mnie rzeczywistością tak żywą i bliską, jakgdybym widział was tu przed sobą. A to dlatego, że młodość jest dla mnie temsamem, czem słońce i wiosna; że w życiu wciąż dużo z młodymi obcuję i lubię im opowiadać o fotografji..." A w innem miejscu doradza: „fotografujcie — sercem".

No i jak tu takiego przyjaciela nazwać zrzędą?

Niebezpieczną zaś nazwałem książkę Bułhaka dlatego, że przy czytaniu prowokowała mnie nieraz do najgorętszych dysput, do rozpoczęcia pogawędki polemicznej na temat wielu zawartych w niej poglądów natury estetycznej. A wiem czem to grozi: aby niektórym argumentom przeciwstawić swoje w dyspucie z tak znakomitym polemistą, trzebaby drugiej książeczki, bez mała. Ograniczę się więc do kilku przykładów, by na nich pokazać, gdzie się w poglądach z prof. Bułhakiem rozmijamy.

Prof. Bułhak, wybierając sobie pewien odcinek tematów, skorzystał z przywileju, który przysługuje każdemu artyście. Że ten właśnie, a nie inny temat (pejzaż) uważa za najpiękniejszy, to również jest jego prawem. Swoje tematy ujmuje w pewien, wyraźnie określony pod względem artystycznym sposób i ten rodzaj ujęcia jest według niego najbardziej właściwy dla fotograficznej wypowiedzi. Ostre, o wielu wyraźnych szczegółach, zdjęcia uważa Bułhak za protokół; żeby zrobić z protokółu sztukę, trzeba mieć zdjęcie miękkie, czasem nawet mgliste i przedewszystkiem, pozbawione szczegółów. Zobaczmyż, na przykładach zdjęć samego autora, jakie ten pogląd daje wyniki w praktyce. Głosząc chwałę naszej ziemi, oddaje fotografik temsamem hołd jej Stwórcy (Bóg stworzył wieś—powiada — a miasto ludzie).

Delikatna miękkość nastrojowowego zdjęcia p. t. „Mogiła" (str. 144) trafnie podkreśla wyraz samego tematu i jest w zgodzie z jego stroną zewnętrzną, plastyczną. Tu ujęcie tematu („bułhakowskie") znalazło najszczęśliwsze zastosowanie. Weźmy teraz inne zdjęcie, „Na pastwisku", wyobrażające stado pasących się owiec. Ani jednego łba owcy nie widać (wszystko zamglone!) A przecież owca to też stworzenie boże, może nie jest Wenerą wśród zwierząt, ale ma łeb bardzo zdecydowany i w swym plastycznym wyrazie ciekawy. Ujawnienie plastyki tej formy wcale nie będzie — w mojem mniemaniu — grzechem popełnienia protokułu.

Jest w tej książce także wizerunek żebraka w siermiędze (str. 130). Taki temat aż się prosi o ujęcie nader plastyczne, ostre i szczegółowe, o zdjęcie, któreby uwydatniło wszystkie znamiona starości, pergamin starczej skóry, twarz pooraną zmarszczkami, ręce sękate, chropawe, pełne gruzłów i zgrubień. Zamiast tego, dzięki zastosowaniu techniki wybranej przez autora, „Dziad" ma rączki miękkie i gładkie, ukryte w puszystym półcieniu. Tu już chyba prof. Bułhak zgodzi się ze mną na jedno, że taka relacja artystyczna nie charakteryzuje trafnie rąk starca-prostaczka.

Wiedziony jednak dobrym instynktem artysty, wybierał Bułhak przeważnie motywy, których czar i urok jego sposób ujęcia podkreślał jaknajtrafniaj. Pejzaże liryczne są trwałym fundamentem twórczości artysty i wkładem najbardziej wartościowym do skarbca polskiej fotografiki. Indywidualność Bułhaka wywarła wielki wpływ na innych, młodszych od niego fotografików i ci, którzy go uważają za swego mistrza, powinni dalej prowadzić rozpoczęte przez nauczyciela dzieło. Powinni pamiętać o jego przykazaniach: fotografuj sercem, bądź artystą-Polakiem, a nie fotografikiem międzynarodowym, pamiętaj ile piękna kryje w sobie przyroda.

Ale pamięć tych prawd naczelnych niech ich nie skłania jednocześnie do naśladowania prac mistrza; każdy artysta tworzy kanony estetyczne przedewszystkiem na własny użytek i każdy powinien argumentem odmiennej, *własnej wizji* zwyciężać. Tembardziej, że przecież temat, odtwarzany najchętniej przez Bułhaka, kryje jeszcze w sobie wiele, nie poruszanych przez niego motywów. Niektóre z nich tylko fotografik, a nie malarz, może powołać do życia w sztuce.

Do niepoślednich zalet książki Bułhaka należy także jej rzetelna polszczyzna, zadzierżysta i pełna swady.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

PISAŁ KIEDYŚ WILHELM FURTWÄNGLER, iż „określenia „epicki" i „dramatyczny", które wydały się Goethemu i Schillerowi tak ważnemi, że poświęcili znaczną część korespondencji wyjaśnieniu tego zagadnienia, zawierają w sobie pierwotne, podstawowe pojęcia twórczości *artystycznej*, które odnajdują się we wszystkich gałęziach sztuki i we wszystkich czasach. W muzyce można zaledwie Bacha uważać za typowego epika, Beethovena zaś za muzyka *wybitnie dramatycznego*. Jest zupełnie zrozumiałe, że aktor, odtwarzający tę czy inną postać *dramatyczną*, gra rolę z pamięci, identyfikując się z tą postacią; natomiast recytując utwór epiczny, powieść czy nowelę, ukazuje się nam on w charakterze niejako *objektywnego* referenta. Z podobnym problematem stykamy się również i w muzyce. Pełna ekspresji i wyrazu dramatycz-

nego faktura wymagać będzie całkowitego wżycia się i najbezpośredniejszego zlania się z ideą odtwarzaną; wykonywanie z pamięci jest tutaj zupełnie zrozumiałym postulatem".

Słowa te bezwątpienia stanowią klucz do zrozumienja tajemnicy idealnego niemal odtworzenia siódmej symfonji *a-dur* Beethovena, co to mieliśmy możność i okazję słyszeć w ubiegłą środę na koncercie orkiestry filharmoników berlińskich.

Wspaniały zespół, znakomity zespół, którego początek jest — mało kto o tem i wie nawet — związany przypadkowo z Warszawą, ściślej mówiąc z niedotrzymaniem umowy przed pięćdziesięciu laty przez lignicki zespół Bilsego, na skutek rozłamu dającego początek wielkiej instytucji muzycznej, będącej dzisiaj dumą Niemiec.

Jeden z najwybitniejszych kapelmistrzów świata, bodaj że Nikisch (jeśli się w tym wypadku mylę, proszę mi wybaczyć) miał kiedyś powiedzieć, iż w chwili gdy staje przed zespołem symfonicznym, władztwa swego nie oddałby za żadne królestwa świata. Słowa te cisną się na usta, gdy przychodzi myśleć o orkiestrze Filharmonji Berlińskiej. Nikisch! Legendarna prawie już postać, władająca królestwem wielkiej sztuki przez lat dziesiątki, poprzednik sławnego, współczesnego nam Furtwänglera. A obok nich takie nazwiska jak Hans Bülow, Mottl, Richter, Strauss Ryszard.

Gdy się stale, bez przerwy obserwuje prasę antynacjonalistyczną, widzi się bądź szyta grubemi nićmi, bądź wyrafinowanie subtelną agitację, tak — w gruncie rzeczy *meeting*'ową agitację, usiłującą wykazać jak straszna barbarja rozpanoszyła się dzisiaj w Niemczech, jak straszny, nieprzyjazny dla sztuki panuje tam klimat. A jednak... trwa w tej „barbarji" instytucja najświetniejszej orkiestry świata i właśnie rok 1933-ci powierzył Furtwänglerowi główne jej kierownictwo a także dyrektorstwo państwowej opery w Berlinie. Przewrót hitlerowski wyrugował z granić Rzeszy Hornsteina a ukoronował Furtwänglera. Czy jest więc powód do wymysłów? Trochę objektywizmu!

W środę, 22-go stycznia wykonano: *concerto grosso d-dur* Händla na dwoje skrzypiec, wiolonczelę i orkiestrę smyczkową, trzecią symfonję *f-dur* Brahmsa, wstęp do „Śpiewaków norymberskich" Wagnera oraz siódmą symfonję *a-dur* Beethovena.

Jako soliści występowali Hugo Kolberg, Zygfryd Borries i Artur Troester.

Wspaniały, niezapomniany koncert, podobnie jak i występ Backhausa, zbojkotowali zupełnie żydzi. Mimo to sala Filharmonji nabita była do ostatniego miejsca, a nastrój wolny od wrzaskliwych przejawów entuzjazmu mieszkańców północnej dzielnicy.

Druga jaskółka. W. NARUSZ

P. S. W poprzednim numerze „Myśli Narodowej" przy omawianiu czwartej symfonji Witolda Maliszewskiego, wykonanej w sali Filharmonji dnia 17 stycznia, wkradł się fatalny, wysoce krzywdzący kompozytora błąd korektorski, który pragniemy jaknajszybciej sprostować. Mianowicie zamiast „...szczelinami m a ł o w a r t e g o utworu..." winno być „...szczelinami m a ł o z w a r t e g o utworu".

W. N.

FILM

BAŁTYK: „Dawid Copperfield" film amerykański.

Ten utwór fimowy jest właściwie triumfem literatury. Doceniając troskę autorów filmu o jego stronę plastyczną, doceniając osiągnięte w tym zakresie wyniki, stwierdzamy jednocześnie, że ta opowieść ekranu zniewala nas, urzeka i przekonywa do siebie c z e m i n n e m. A mianowicie tem wszystkiem, co się udało z powieści Dickensa przenieść na ekran. Tak, utrafiono we właściwy ton. Dobroczynne ciepło utworów wielkiego pisarza, ciepło serca, nasyca i film, zwłaszcza w pierwszej jego części, odmalowującej dzieciństwo Dawida. Nie są to już banalne chwyty i ckliwe sposobiki, jakiemi wytwórcy filmowi zwykli wyciskać łzę z oczu bardziej sentymentalnego widza (i złotówkę z jego kieszeni) — klucz do otwierania serc ludzkich został, tym razem, wypożyczony filmowcom przez genjalnego artystę. Nieraz już nie szczędzono trudu, starań i kosztów, by odtworzyć jaknajwspanialej na ekranie powieści różnych znakomitych pisarzy, ale tu pozatem zrozumiano, co jest w Dickensie najistotniejsze. I to możemy uważać za najwłaściwiej pojęty pietyzm filmowców dla jednego z najpiękniejszych dzieł literatury. Dzięki temu poznałem Dickensa z ekranu, choć tak się złożyło, że tej właśnie jego powieści nie znam.

Do dzieł Tołstoja, tak często przerabianych na film, sięgano jako do gotowych już tematów, popartych reklamą nazwiska autora. Posługując się wątkiem jego utworów, robiono nieraz nawet dobre filmy, nie ujawniając jednak przytem zbytniej troski o to, ile w taśmie filmowej prawdziwego Tołstoja pozostało. Sfilmowany „Dawid Copperfield" jest w tym względzie szczęśliwym wyjątkiem i chyba stanowi najlepszy, jak dotychczas, przykład relacji plastycznej utworu literatury.

A teraz o samem wykonaniu. „Dawid Copperfield" ma mnóstwo dialogów, co, jak wiadomo, ani pożądane ani bezpieczne dla tempa filmu nie jest i może być jego najcięższym grzechem. Aby usunąć to niebezpieczeństwo, a raczej je zrównoważyć, postarano się o jednoczesność walorów plastycznych. A więc mamy tu pyszną i znakomicie zróżniczkowaną galerję typów, co zresztą z samej powieści wynika. Wszystkie, najdrobniejsze nawet role, obsadzono pierwszorzędnymi aktorami. Maski, sylwetki i gesty odtwarzanych przez nich postaci są do tego stopnia żywe i zajmujące plastycznie, że wynagradzają pewien nadmiar gadaniny. Dalej: reżyserja odświeżyła nazbyt zużyte sposoby ujmowania rozmaitych scenek i unikając konwencjonalizmu, stara się je zastąpić argumentem dobrze podpatrzonej realistycznej prawdy. Tak np. niania małego Dawida, niosąc go do łóżka „na barana", poklepuje swego ulubieńca po tyłeczku. Gdy Davy oznajmia jej, że „Barkis się stara", zaczyna się śmiać i dobrze podpatrzonym gestem zarzuca sobie fartuch na głowę.

Grę aktorską, odbarwioną ze zwykłego filmowego szablonu, rzucono na interesujące tło malarsko pojętych i dobrze komponowanych poszczególnych obrazów. Najciekawsza, najbardziej wzruszająca i najlepiej związana jest pierwsza część filmu, opisująca dzieciństwo Dawida; w drugiej, gdy Dawid, jako młodzieniec, odwiedza swych przyjaciół z lat dziecięcych — tempo słabnie. Sceny liryczne między młodymi, pozbawione tego plastycznego wyrazu, jaki cechował inne, z aktorami starszymi, wypadły nieco mdło.

Te niedostatki nie są jednak w stanie przesłonić niepoślednich wartości tego, z największą rzetelnością wykonanego filmu i osłabić wrażenia, jakie sprawia.

CAPITOL: „Dodek na froncie" reż. M. Waszyński.

Byłoby grubą i conajmniej lekkomyślną przesadą twierdzić, że nasza produkcja krajowa roi się, już nie od arcydzieł nawet, ale filmów dobrze zrobionych. Temnie mniej sprawiedliwość każe nam przyznać, iż widywaliśmy nieraz filmy zagraniczne wcale nie lepsze, a nieraz i gorsze od naszych. Do utworów, które wytrzymują porównanie z przeciętną produkcją obcą, można zaliczyć wyświetlane niedawno „Manewry miłosne", a także i film ostatni: „Dodek na froncie", z Dymszą w roli tytułowej.

Początek dobry filmowo, bez gadaniny, przeważnie dobra fotografja, zwłaszcza w plenerach (nieraz robionych w *atelier*), niezłe tempo, niewiele stosunkowo miejsc pustych, spora garść dowcipnych pomysłów — oto zalety, które zapiszemy na *plus*. Na *minus* musimy zapisać taką garść dowcipów nieudanych, zbyt grubych, lub poprostu tanich i wygrywanie tych dowcipów sposobem teatralnym w dialogach. Szarża niektórych fragmentów razi nas, gdyż jest tylko spaczonym naturalizmem. Mając do rozporządzenia tak wspaniały materjał aktorski, jak Dymszę, istne dynamo komizmu filmowego, nie umieją nasi filmowcy, konsekwentnem przeprowadzeniem bzdury do końca, otworzyć sobie wrót do krainy, gdzie panuje już niepodzielnie nonsens artystyczny, z prawideł własnej, nie naturalistycznej logiki wyprowadzony (patrz np. „Mechanizm życia" Witolda Gombrowicza, w „Prosto z Mostu", Nr. 1, 1935 r.).

Gdy w pewnym momencie, po szalonej kotłowaninie na schodach, Dymsza, w ucieczce przed tłumem, skacze wkońcu na żyrandol i huśta się na nim nad salą, a tłum kołysze się w takt, tam i z powrotem i wszystko to ilustruje dowcipnie dobrana melodja walczyka — czujemy, że tu jest właśnie ta huśtawka, o którą chodzi. Że jeszcze chwila, jeszcze jeden wzlot, a wzniesiemy się z niej, jak z trampoliny, w regiony najczystszego nonsensu, najrozkoszniejszej igraszki filmowej.

Niechże te momenty będą wskazaniem właściwej drogi w następnych filmach z Dymszą.

KANDYD

POKŁOSIE

CO CZYTAĆ?

BIBLJOTEKA przy Muzeum brytyjskiem w Londynie od trzech lat sporządza nowy katalog i ma nadzieję ukończyć tę pracę za dwadzieścia dwa lata. Według ogłoszonych danych do bibljoteki tej przybywa w ostatnich latach przeciętnie po 400 tysięcy numerów na rok! Wiele skarbów wiedzy i sztuki mieści się w jej salach, ale o ileż więcej bezwartościowej sieczki, a jakże interesująca byłaby ocena, ile też wśród tej rocznej powodzi druków jest rzeczy naprawdę coś wartych i godnych przechowania? Z pewnością drobny zaledwie ułamek.

Maszyna drukarska rzuca nieustannie na głowy nieszczęsnej ludzkości lawinę książek i wydawnictw, przeważnie niepotrzebnych. Kalif Omar znalazł zbyt radykalne rozwiązanie w stosunku do bibljoteki aleksandryjskiej, ale i my kiedyś, może już niedługo, będziemy musieli zastosować jakiś filtr, gdyż inaczej rzeczy dojdą do absurdu i cenne dzieła ducha zatopi bez ratunku rozlewające się szeroko głupstwo. A w dodatku do głupstwa, które jest wieczne i płodne, przybywa dziś coraz więcej bałamuctwa, złej woli, kłamstwa.

Trzymajmy się książek dobrych, wracajmy do nich, nauczymy się z nich zawsze czegoś pożytecznego, a nieraz przekonamy się, że gdybyśmy uważniej je czytali, to niejedno zjawisko, niejeden wypadek nie zastałby nas nieprzygotowanych.

Przeglądałem w tych dniach ponownie „Przewrót" R. Dmowskiego. I oto znalazłem tam, pisane przed czterema laty, następujące zdania o Włoszech:

„Coprawda niema narodu, któremu byłoby tak trudno, jak Włochom, zorganizować politykę zewnętrzną, odpowiadającą jego potrzebom. Ma on wielki nadmiar ludności, chętnie emigrującej i stanowiącej znakomity materjał kolonizacyjny, a nie ma co kolonizować. Ma ludność zdolną i pracowitą, ma pierwszorzędne siły techniczne, a nie ma co i z czego wytwarzać, bo kraj jego jest najuboższy w surowce i rynki zbytu dla jego przemysłu nie rozszerzają się, ale kurczą. Ma aspiracje do roli przodującej w Europie, czuje w sobie do niej siły, a nie posiada materjalnych warunków, które pozwoliłyby mu ją odegrać. Stąd ma ambicje imperjalistyczne, które doszły do najwyższego napięcia właśnie w dobie, kiedy ich zrealizowanie stało się niemożliwe... Ambicje imperjalistyczne Włoch, przy całej naturalności motywów, które je dyktują i przy wszystkich zaletach narodu, który je żywi, stają się coraz bardziej nierealnemi. To sprawia, że Włochy stają się czynnikiem polityki międzynarodowej mało obliczalnym, zwiększającym w dużej mierze chaos dzisiejszej Europy i zdolnym do aktów, które samym Włochom korzyści nie przyniosą, a pomnożą tylko klęski przejściowej doby"...

Oto jest wzrok, który dobrze widzi sprawy przyszłe; to są zdania, wyjaśniające wiele pytań: dlaczego i poco?

A teraz o Anglji:

„Niema narodu, który dziś czy jutro, będzie tak trudno powołać do nowych poświęceń, jak naród angielski. To się będzie musiało silnie odbić zarówno na jego szybko pogarszających się stosunkach wewnętrznych, jak i na jego położeniu zewnętrznem. W tych warunkach polityka zewnętrzna Anglji, w swem usiłowaniu utrzymania wielkiej roli państwa na terenie międzynarodowym, zachowania całości imperjum, wreszcie ratowania bytu gospodarczego kraju, ma dziś przed sobą zadania, których spełnić nie jest zdolna. Tylko stara rutyna dyplomatyczna i znana flegma angielska pozwala ukrywać przed światem tę rozpaczliwą bezradność wobec gromadzących się z dnia na dzień trudności, które się wytrwale łata, a raczej zamazuje, i strach przed jakąś wielką, nagłą katastrofą. Pomaga temu zresztą znany, wychowany na długiej pomyślności optymizm angielski".

Jakże doskonale wyjaśnia dzisiejsze perypetje konfliktu abisyńskiego i postawę w nim Anglji ten komentarz z przed czterech lat!

A teraz zwróćmy się do szczerego publicysty angielskiego i zobaczmy jak H. Belloc wyjaśnia dzisiejsze wahania polityki swego kraju. Siłę tej polityki widzi w znakomitej propagandzie zewnętrznej i wewnętrznej, słabość w niezwyczajnem niezdecydowaniu co do wyboru dróg: „Ta szkoła proponuje ugodę z Włochami, gdyż nie wierzy, żeby natychmiastowe próby zniszczenia tego rywala odniosły pewny, nie mówiąc już o łatwym, skutek. Obawia się sytuacji w Egipcie, a jeszcze bardziej (chociaż nigdy o tem nie wspomina) w Palestynie. Uważa, że nasze możliwości są napięte do najwyższego stopnia. Jest niepewna co do wyniku walki między samolotem a pancernikiem w dzisiejszych warunkach. Nie wierzy w to, że gdybyśmy sprowokowali wojnę z Włochami, tę wojnę możnaby było zlokalizować. Oświadcza się za „pieredyszką", podczas której możemy stworzyć nową broń przeciwko nowemu niebezpieczeństwu i przerobić całkowicie nasze plany strategiczne, mając na widoku decydującą bitwę na morzu Śródziemnem za jakieś pięć lat. Z naszemi środkami, mówi, wynik po dostatecznej przerwie nie może być wątpliwy. Tembardziej, że czas pracuje dla nas. Wyjątkowy *régime* we Włoszech nie może trwać i będzie się stawał coraz słabszy w najbliższych kilku latach". Na to inna szkoła odpowiada: „Nie wiadomo, co się może stać w ciągu pięciu lat. Wiemy jak stoimy dziś, a nie wiemy, co będzie wtedy. Za pięć lat może powstać silny rząd narodowy we Francji (co będzie fatalne dla naszych planów), a dziś jesteśmy dość silni, żeby załatwić sprawę nie mieszkając. A więc idźmy naprzód bez obawy i postawmy Włochy w takiej pozycji, żeby musiały albo się załamać bez walki, albo walczyć z nami i zginąć". Te dwie szkoły polityczne przedstawiają realne siły, dziś działające. Cała reszta to maska. „Za tydzień (drukowane 16 stycznia) dowiemy się, która ze szkół, czy ta z „naprzód", czy z Fabiuszem Kunktatorem jako patronem zwyciężyła".

Dziś po Radzie Ligi wiemy istotnie, że w Anglji zwyciężył Fabiusz...

Myślę, że te parę cytatów daje wyrazisty i doskonały obraz całego położenia.

ARGUS

NA MARGINESIE

Nagoda przeznaczona Wittlinowi, ustaliła trójcę wieszczów nad polskim Skamandrem. Są nimi żydzi defetyści: Słonimski, Tuwim, Wittlin.

Pokornymi ich uczniami, w pocie czoła na ich chwałę pracującymi, są polscy wieszczowie z pobrzeża Skamandrowego: Goetel, Wierzyński, Iwaszkiewicz, Parandowski, Pawlikowska...

*

Dzienniki opisują sensacyjny wypadek porwania uczennicy Polki przez handlarza żywym towarem. Pościg nie dał dotąd rezultatu. Prasa podaje rysopis zbrodniarza: „piękny brunet". Handlarzami żywym towarem zawsze są „bruneci". Mają też nosy troche garbate.

*

Kilkanaście dni temu — w niedzielę t. zw. Polskie Radjo transmitowało audycję z „Cyrulika Warszawskiego". Ktoś, zapowiadając występ p. Jarossego, nazwał go — słusznie zresztą — „Polakiem amatorem" w przeciwieństwie, jak się wyraził *conferencier*, do „Polaków zawodowych".

Interesujący podział... I jakże w sensie swoim znamienny dla kończącej się już, pomimo wszystko, epoki, kiedy na falach eteru płyną jeszcze słowa węgierskiego przybysza z kabaretu, przy życzliwej pomocy rządców t. zw. Polskiego Radja, jak, mianowicie, sekretarza generalnego p. Kreuter Krafta, dyr. Lilienfelda i innych „Polaków-amatorów", a może nawet „Polaków-zawodowców".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.